

www.naszdom.rzeszow.pl

# NASZ DOM RZESZÓW

MAJ 2020 NR 175

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 5 (175)

ROK XVI

ISSN 1895-2046

Indeks 213039



9 771895 204101

Cena 4 zł w tym 5% VAT



Leszek Kuchniak – „Żydowskie zaślubiny (ślub Jakuba i Hany)”, akryl na płótnie

## W NUMERZE:



- 4 W ZAKAMARKACH PAMIĘCI  
Jerzy Dynia
- 6 PRZEŻYŁEM AUSCHWITZ  
Ryszard Zatorski
- 7 PORTRET CESARZA DOBROTLIWI  
Andrzej Grzywacz
- 7 CZY BÓG STWORZYŁ ŚWIAT?  
Andrzej Piątek
- 8 JASNA I CIEMNA STRONA MOCY  
Dorota Dominik
- 8 PRAWO RÓWNYCH SZANS  
Edward Słupek
- 9 LUDZIE ZACZYNAJĄ SIĘ BUDZIĆ  
Bogusław Kobisz
- 9 ARCYDZIEŁO CZY KNOT?  
Józef Ambrozowicz
- 10 KSZTAŁCENIE ZDALNE  
Kamil Łuka
- 10 MIT KOBIECOŚCI NIENASYCONEJ  
Józef Ambrozowicz
- 11 POZORNE ABDYKACJE  
Jan Belcik
- 12 WIEKOWY ZWIĄZEK  
Ryszard Mścisz
- 12 KARTKI Z PAWLACZA  
Stanisław Dłuski

WERS – magazyn literacki  
Janusz Gołda • Jadwiga Kupiszewska • Mieczysław  
A. Łyp • Ewelina Łopuszańska • Andrzej Szypuła

- 15 MIŁOŚĆ DO SZTUK PIĘKNYCH  
Zofia Stopińska
- 16 SERNIK Z PENDERECKIM  
Andrzej Piątek
- 16 Z PANIĄ MUZYKĄ WE DWOJE  
Andrzej Szypuła
- 17 KULTURA PRZEZ INTERNET  
Jadwiga Kupiszewska
- 18 PRZENIESIONY W CZASIE  
Sylvia Chodorowska-Koziar
- 19 ODSZEDŁ W WIELKIEJ CISZY  
Piotr Rędziniak
- 20 ŚLAD POZOSTAWIONY  
Ryszard Zatorski
- 21 WIROWANIE NA PLANIE  
Roman Małek
- 21 ODPRYSKI  
Zbigniew Grzyś
- 22 ROZMAITOŚCI

**NASZ DOM RZESZÓW**  
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

WYDAWCA: Stowarzyszenie Nasz Dom – Rzeszów

REDAGUJE ZESPÓŁ

Redaktor naczelny: Jerzy Maślanka, tel. 602 377 303

Zastępca red. nac., red. wydania: Ryszard Zatorski,

tel. 507 004 026, rzatorski@interia.pl

oraz Dorota Dominik, Jerzy Dynia, Zbigniew Grzyś,

Bogusław Kobisz, Jadwiga Kupiszewska, Roman Małek,

Nina Opic, Andrzej Piątek, Małgorzata Prokop,

Edward Słupek, Andrzej Szypuła

Projekt graf., skład: Grzegorz Wójtowicz

WBX Studio Graficzne www.wbxstudio.pl

Adres redakcji:

35-103 Rzeszów, Hanasiewicza 4/210

tel. 790-790-265, 17 854-85-80

e-mail: redakcja@wbxstudio.pl

www.naszdom.rzeszow.pl

Nakład: 1800 egzemplarzy

Wydanie dofinansowane z budżetu Gminy Miasto Rzeszów

**rzeszów**  
stolica innowacji

**WBX**  
STUDIO  
GRAFICZNE  
(DRUKARNIA WYDAWNICTWO)  
www.wbxstudio.pl

KULTURA  
W RZESZOWIE



## Moje refleksje

Jerzy Maślanka

### CYRK WYBORCZY czyli zamach majowy

Dziś, kiedy wirus, kryzys, kłopoty,  
na Wiejskiej stoją cyrku namioty,  
bo w mig Adriana trzeba wybierać,  
wyborcza kręci się karuzela.

Dla dobra ludu, dla dobra sprawy,  
to co wymyśli Jarosław Prawy,  
wśród entuzjazmu, braw i okrzyków  
wszystko zatwierdza sejm pajacyków.

Marszałek Witek udawać przyszło  
być znakomitym iluzjonistą.  
Wynik głosowań, i to mnie wzrusza,  
wciąż wyskakuje jej z kapelusza.

Korzysta również z sprawdzonych wzorów,  
zły – powtarzamy więc do oporu.  
Projekty uchwał czy ustaw nowych  
to są perełki gagów cyrkowych.

Stop – tusz orkiestra – i pełna cisza,  
hop z kapelusza, mamy hippisa.  
To nie są żarty, sprawa poważna,  
on znakomicie wciąż jest za błazna.  
Szał na widowni, bo ten ladaco  
„ciągle rżnie głupa” – za to mu płacą.

Dzielny Mateusz, patrzcie tam w górze,  
jest na trapezie – szaleństwo duże.  
Wciąż się nam buja tam nieodparcie,  
trzymając w ręku aż cztery tarcze.  
Tak to na kryzys jest antidotum  
i kraj wybawi z wszelkich kłopotów.  
Nagle skok, przewrót i niby spada,  
a drugi trapez Sasin podkłada.

To akrobata sprytny, odważny,  
szefem wyborczej jest równoważni.  
Na pewno śliskiej, choć proszę, proszę,  
nie boi się być jej listonoszem.

Przy nim śliczne dwie dziewczynki  
pilnują wyborczej skrzynki,  
chcą zapewnić cele główne:  
tajne, bezpośrednie, równe.

By wypłenić fałszerstw zło,  
skrzynka ma podwójne dno.  
Propozycja również jest,  
ma być tam szkolony pies  
oraz WOT-u dwójka z bronią,  
co ją stworzył Don Antonio.  
Będzie fajnie, sprawnie, czujnie,  
tu komisji nikt nie bujnie  
oraz prawnie i poprawnie,  
atrakcyjnie i zabawnie,  
precyzyjnie, sensacyjnie,  
po prostu rewelacyjnie –  
czyli korespondencyjnie.  
**Informacja pójdzie w świat,  
demokracji kwitnie kwiat.**

Już do okłasków złożone dłonie,  
kto to, ach kto to, na spadochronie?  
Nasz sztukmistrz Adrian, galeria krzyczy:  
zerwij się, zerwij z partyjnej smyczy.  
A w całym cyrku brzmi dźwięczny ton:  
to on, to on, to on, to on.



To nasza wiara, radość, pokusa,  
to on szczepionką jest na wirusa  
i się rozprawi z każdym kłopotem,  
wkrótce zamieni szare na złote  
i opozycji odeprze cios.  
Echo odpowie: masz, masz, nasz głos!

A w cyrkowej gdzieś strzelnicy  
Zbyszko z swym KaKaO ćwicz, jak tu trafić dziś sędziego  
z nagana nienabitego.  
Bowień z TSUE pismo przyszło,  
że z tą Izbą im nie wyszło,  
zwłaszcza męczy takie zdanie:  
„Wstrzymać macie orzekanie”.

Ziobro: Odwołamy się i kwita.

Echo:  
Prawo trzeba umieć czytać,  
tworzyć, zmieniać, sens poprawiać  
i ustawy ustanawiać,  
bo sam wybór z chętnych tłumy  
to nie dodał wam rozumu.  
Tak więc Orły i Sokoły  
czas zaglądnąć w mury szkoły,  
bo wasz upór, tupet duma,  
wart kozaka jest Nauma,  
aby każdy z was zrozumiał,  
że  
**„czego się Jaś nie nauczył  
to i Jan nie będzie umiał”.**

Rzeczą ludzką jest błędzić,  
zresztą historia to osądzi.

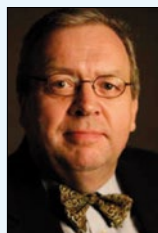
Idzie ostatnia cyrku odsłona,  
Jarko przy sobie ma Filemona,  
na aplauz tłumy jak zawsze liczy,  
uśmiech i grymas ma tajemniczy.

W programie pójdzie farsa z groteską,  
czyli tresura swych wiernych piesków,  
oraz wyjaśni bezsens, głupotę,  
pies to w przyjaźni może być z kotem.

Szepty widowni, słycała pogłoski,  
że nasz Karzełek to Kaszpirowski,  
ręce podnosząc w szczególnej pozie  
„wszyscy będziemy wtedy w hipnozie”.  
Spełni nadzieje tych, co tu przyszli,  
będziecie mieli to, co się przyśni,  
**„cudowny sen nadejdzie  
i sobie pomarzemy,  
że wiosną trochę lata,  
a zimą brak jest zimy.  
I dni coraz piękniejsze,  
a noce coraz krótsze,  
wszystko najpotrzebniejsze  
otrzymasz już pojutrze,  
gdy cena będzie ceną,  
złotówka prawie złota,  
kiedy nie będzie rządził  
satrapa i idiota.  
Entuzjazm nas ogarnie,  
w to wszystko uwierzmy,  
wspaniale jest, cudownie,  
lecz tylko kiedy śpimy”.**

# NOWY KULT DLA FLAGI

## 2 maja obchodzimy Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej



**Władysław Serwatowski**

Można widzieć często flagi na budynkach państwowych. To ważne, że wiele instytucji czuwa nad czystością barw. Flagi mają już hotele i urzędy, stacje benzynowe i wielkie sklepy, kongresy, stowarzyszenia i szkoły, gdy rozpoczyna się kolejny pierwszy września. Flagi są stałymi elementami pokazywanymi przez operatorów w transmisjach telewizyjnych. Ludzie często mają pomalowane czoła i policzki, czasami także piersi i ramiona. Kobiety i mężczyźni używają jednakowego makijażu. Tracą nawet tożsamość płci, aby w tłumie zademonstrować barwy narodowe – identyfikację. Kibice stają się żywymi flagami, dopingując swoich zawodników. Podróżując za swoimi ulubionymi zespołami, stanowią ważny segment w turystyce międzynarodowej.

W Anglii malowana we flagę postać nazywa się vexiloboy, we francuskim obszarze językowym to vexilogramin, w Hiszpanii to chicovexil, a w Italii banderobambino. To, co ich łączy, to nowy kult dla flagi. Flaga, która jest znakiem szacownym, skutecznym i rozpoznawczym. Są też coraz częściej flagi obecne w polskim pejzażu. Podnoszą rangę kongresów, konferencji, rozmów handlowych, stanowią udostojnienie hotelowych frontonów lub holi recepcyjnych.

Modę na flagi zapoczątkował w Polsce XVI Międzynarodowy Kongres Weksylologiczny (Flagoznawczy) urządzony w Warszawie w 1995 roku. Rolę flag spopularyzowały wystawy „Godło i barwa Polski samorządowej” przygotowane w Warszawie i wielu polskich miastach przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego. W Polsce trwa moda na flagi. Flaga jest symbolicznym, konwencjonalnym znakiem rozpoznawczym.

Flagi nie powinny mieć na swym płacie żadnych napisów, a jedynie wzór barwny, z ewentualnym znakiem graficznym.

Zródłem dla protokołu flagowego jest ustawa z 9 lutego 1990 r., która formułuje: „Flagę państwową Rzeczypospolitej Polskiej podnosi się na budynkach lub przed budynkami stanowiącymi siedziby urzędowe albo miejsca obrad: 1. Sejmu RP; 2. Senatu RP; 3. Prezydenta RP; 4. Rady Ministrów oraz Prezesa Rady Ministrów; 5. innych organów państwowych i państwowych jednostek organizacyjnych z okazji uroczystości świąt i rocznic państwowych”.

Protokół określa kolejność używania flag według następującej hierarchii:

a. flaga państwowa, b. flaga województwa, c. flaga powiatu, d. flaga gminy, e. flaga miasta; f. flaga służbowa (policji, poczty, instytutów naukowych, przedsiębiorstw, szkół, klubów sportowych). W razie występowania flag tej samej kategorii, czyli rangi, to o kolejności decydują

nazwy państw, miast, gmin, klubów czy przedsiębiorstw podane w kolejności alfabetycznej, oficjalnego języka obowiązującego w danym miejscu.

Z okazji wyjątkowych zebrań, posiedzeń, akademii, kongresów czy spotkań flag państwową umieszcza się zawsze w miejscu najbardziej honorowym, czyli po stronie lewej od mównicy przemawiającego lub trybuny honorowej. Inne wystawione flagi powinny być umieszczane za flagą państwową albo po stronie prawej.

Flaga RP ustawiona na podium razem z innymi flagami musi zajmować miejsce centralne w środku. Jeśli obok niej są flagi innych państw, wszystkie muszą być na równym poziomie i jednakowej wielkości.

Flaga RP umieszczona w parze z drugą flagą państwową albo jakakolwiek flaga o skośnym, krzyżowym połączeniu drzewców, powinna mieć płat po lewej stronie.

Flaga RP może być zawieszona pionowo lub poziomo, gdy umieszczona jest na tle ściany, np. za centralnie ustawioną mównicą. Pionowo wiesz się flagę państwową najczęściej samodzielnie. Jeżeli flaga jest zawieszona pionowo, wówczas pas biały jest po lewej stronie.

Na łądzie na jednym maszcie może powiewać tylko jedna flaga. Wszystkie maszty muszą być jednakowej wysokości. Jeśli są 2 lub 4 maszty, kolejność jest zawsze od lewej do prawej.

Flaga RP zawieszana pionowo nad ulicą ma płat biały od strony zachodniej.

Flaga RP, powiewając na masztach w towarzystwie innych flag (niepaństwowych), zajmuje miejsce najbardziej honorowe, to znaczy pierwsze od lewej strony. Żadna flaga obok nie może powiewać wyżej ani mieć płat większy niż flaga Polski.

Flagi powinny być podnoszone na maszt energicznie i szybko, a opuszczane powoli i dostojnie. Jest zwyczajem, że flaga RP, tak jak inne flagi państwowe, powiewa na masztach od świtu do zmierzchu. Flagi powiewające na maszcie po zachodzie słońca powinny być oświetlone. Nie należy wywieszać flag w dni deszczowe i przy wyjątkowo silnym wietrze. Flaga musi mieć czytelne barwy i wzór, być czysta i niepostrzępiona.

W dniach ogłoszonej żałoby narodowej flagi RP i pozostałe służbowe są opuszczone do połowy masztu.

Flagą RP można honorować trumnę osobistości państwowej, przykrywając ją całym płatem. Wówczas biały płat flagi leży wzdłuż lewego boku trumny. W żadnej sytuacji flaga nie może dotykać ziemi. Flagę należy zdjąć z trumny przed opuszczeniem jej do grobowca albo grobu. W procesji, paradzie, orszaku, pochodzie lub innej manifestacji fladze RP przysługują miejsce poczesne i niesiona jest jako pierwsza.



Skrzyżowanie al. Okulickiego z ul. Krakowską w Rzeszowie – rondo z flagami

Fladze RP tak jak innym flagom państwowym oddawane są rozmaite honory przez odpowiednie zachowania. W stosunkach międzynarodowych zachowania te określa protokół dyplomatyczny. Poza tymi sytuacjami flaga RP może być niesiona w defiladzie, procesji, paradzie lub pochodzie; wówczas stojące obok osoby winny oddać honor fladze przez powstanie, chwilowe znieruchomienie i zwrócenie twarzy w kierunku flagi polskiej. Osoby umundurowane salutują.

Należy pamiętać i przestrzegać, aby flagą nie dekorowano ani nie drapowano odsłanianego pomnika, mównicy lub stołu prezydenckiego.

Flagi RP jak i innych nie wolno używać do żadnych działań reklamowych.

Na drzewcu flagi ani maszcie przeznaczonym dla flagi nie wolno umieszczać znaków reklamowych.

Flagi RP nie wolno używać jako materiału do szycia ubrań, strojów czy sportowych kostiumów.

Flaga nie może być używana do opakowania czegokolwiek lub jako materiał do przenoszenia innych przedmiotów.

Opuszczana flaga nie może dotknąć ziemi. Powinna w chwili opuszczenia być wzięta w rękę lub ramiona.

Składanie flagi RP powinno odbywać się godnie i zgodnie z zasadą, że płat biały znajduje się zawsze nad płatem czerwonym.

Flaga winna być utrzymywana w czystości i chroniona od zniszczenia. Kiedy stan wskazuje, że nie może być dłużej używana, wówczas jednym sposobem unicestwienia flagi RP jest jej spalenie w naturalnym ogniu, w godny sposób.

■ Dr Władysław SERWATOWSKI

W poniedziałek 6 kwietnia, w dniu gdy ukazał się nasz kolejny miesięcznik, przyszła ta wiadomość: „Ze smutkiem zawiadamiam, że 27 marca br. mój Mąż Władysław Serwatowski zmarł. Chorował od pięciu lat, ale ogromną przyjemność sprawiały Mu otrzymywane od Redakcji kolejne wydania pisma Nasz Rzeszów. Serdecznie za te miłe

gesty dziękuję. Pozdrawiam Marta Serwatowska”.

Wielki żal, bo dr Władysław Serwatowski był nie tylko naszym wiernym czytelnikiem, ale przede wszystkim ogromnie znaczącym dla nas autorem. Wielkim erudytą, znawcą sztuki i jej popularyzatorem w kraju i na świecie, także na naszych łamach. Wielokrotnie przewodniczył jury Biennale Plakatu Teatralnego powiązanego z Teatrem im. W. Siemaszkowej. Ogromnie wrażliwy patriotą, wyczulony na wszystko, co mocoowało znacząco nasz kraj w świecie. Podróżował i wykladał na wielu uczelniach. Z naszym czasopiśmie utrzymywał ważne dla nas kontakty, odkrywał i przypominał wielkie postaci z kręgu kultury, które miały związek z naszym miastem i regionem. Z warszawskiej perspektywy przybliżał także wydarzenia, które działy się w stolicy, a dotyczyły choćby pośrednio naszego regionu.

Żal wielki, że nie będziemy mogli go już gościć na naszych łamach. Czytelnikom przypominamy tego autora w publikacji, której się już nie doczekał.

Władysław Serwatowski był doktorem nauk humanistycznych, weksylogiem, promotorem polskiej kultury, absolwentem Wy-



Władysław Serwatowski

działów Filozofii KUL oraz Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Pracował dla Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie, Teatru Współczesnego im. Edmunda Wiercińskiego w Wro-

clawiu, Teatru Narodowego w Warszawie oraz był współzałożycielem Centrum Sztuki Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Warszawie. Długie lata związany z Polską Agencją Inwestycji Zagranicznych i Instytutem Adama Mickiewicza. Był wykładowcą w Akademii Sztuk Pięknych, Collegium Civitas oraz Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych w Warszawie.

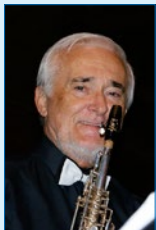
Komisarz Generalny Polski na Wystawie Uniwersalnej EXPO 92 w Sewilli. Inicjator projektu Flagi Ziemi i założyciel Centrum Flagi Ziemi. Organizator I Światowego Kongresu Plakatoznawczego (1994) i XVI Międzynarodowego Kongresu Weksylogicznego (1995) w Warszawie.

Członek licznych organizacji, m.in. Międzynarodowej Organizacji Ekspertów Ordineks w Genewie, FIAV (Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Weksylogicznych); autor tekstów na temat kultury i sztuki w ponad 100 tytułach prasowych w 20 krajach oraz w kilkudziesięciu katalogach międzynarodowych. Organizator i kurator licznych wystaw artystycznych oraz juror międzynarodowych konkursów. Miał 71 lat. ■

Fot. ProJaruskiewicz.com

## W ZAKAMARKACH PAMIĘCI

### O filharmonii bardzo osobiście



Jerzy Dynia

„Na widowni przyciemniono światła. Na scenie Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie orkiestra zajęła miejsca. Dyrygent dał znak. Orkiestra zagrała Uwerturę

Józefa Elsnera do opery *Leszek Biały*. Gdy przebrzmiały ostatnie tony utworu, z przepelnionej po brzegi sali zerwała się burza oklasków. To rzeszowskie społeczeństwo witało pierwszy występ swojej, wojewódzkiej orkiestry symfonicznej”. Tak pisała na temat tego nadzwyczajnego wydarzenia pierwsza w tamtych latach dama rzeszowskiego dziennikarstwa red. Cecylia Błońska. A koncert ten odbył się 65 lat temu, 29 kwietnia 1955 roku.

*Byłem na tym koncercie, mając jeszcze... naście lat. Do muzyki ciągnęło mnie chyba za sprawą genów przekazanych mi przez muzycznych rodziców. Na salę widowiskową WDK wszedłem nielegalnie, bez biletu, przemycony ukradkiem przez znajomego trębacza orkiestry Kazimierza Czecha. Cały koncert przestałem ukryty za kulisami, zaglądając ukradkiem na scenę. Byłem zszokowany. Pierwszy raz w życiu widziałem taką orkiestrę, w której grało 30 muzyków. Pierwszy raz zobaczyłem, jak się zachowuje dyrygent. Pierwszy raz usłyszałem na żywo prezentowane w czasie koncertu różne formy muzyczne. W tamtym czasie już grałem na akordeonie, chyba na tyle dobrze, że zapropowowali mi współpracę muzycy z podrzeszowskiej Trzciany, grający do tańca w okolicznych miejscowościach. A były to ówczesne muzyczne tuzy:*

*nauczyciel ze Szkoły Muzycznej Józef Dziedzic – koncertmistrz orkiestry, wspomniany Kazimierz Czech, no i II skrzypek orkiestry Eugeniusz Janczycki. Podczas tego koncertu po raz pierwszy usłyszałem również jak na „prawdziwym” fortepianie gra laureat I nagrody V Konkursu Chopinowskiego Adam Harasiewicz. Ten koncert odbił się w sposób znaczący na mojej przyszłości.*

Wojewódzka Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie została powołana do życia zarządzeniem ministra kultury z 6 sierpnia 1954 roku. Pierwszym dyrektorem został Mieczysław Syta. W mieście nie było zbyt wielu muzyków, którzy by byli w stanie podjąć zadaniom wynikającym z wykonywania muzyki poważnej, klasycznej. Już w październiku 1954 roku powstał zarząd orkiestry, w skład którego weszli nauczyciele Szkoły Muzycznej Walerian Lesiński, Jan Wołowicz, Stanisław Stańko i wspomniany Józef Dziedzic. Próby, dwa razy w tygodniu, rozpoczęły się w budynku WDK 1 marca 1954 roku pod batutą Jana Wołowca, ale już 1 kwietnia tegoż roku za pulpitem dyrygenckim stanął absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie Jan Gąsiorowicz. On też poprowadził koncert inauguracyjny koncertową działalność rzeszowskiej orkiestry.

Już w sierpniu 1955 roku zaszły znaczące zmiany. Dyrektorem został Józef Maroń, zaś kierownikiem artystycznym i dyrygentem,

krakowianin Janusz Ambros, jak się okazało w przyszłości autor wielu artystycznych zjawisk w Rzeszowie. Placówka rozwijała się dynamicznie. We wrześniu 1958 roku doszło do jej upaństwowienia, w rok później powołany został do życia 80-osobowy chór. W roku 1961 Józef Maroń i Janusz Ambros wychodzili u władz Dni Muzyki Kameralnej i ich pierwsza edycja odbyła się w pięknym Zamku w Łańcucie w pierwszych dniach maja. Do Rzeszowa i Łańcuta zaczęli przyjeżdżać artyści z pierwszych artystycznych pólek.

Stosownym dokumentem 1 stycznia 1962



Filharmonia Podkarpacka w Rzeszowie

roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie przekazało znajdujący się przy ulicy F. Chopina plac pod budowę „muzycznego centrum”, tj. szkoły muzycznej oraz pod budowę gmachu, w którym ma być 800 (!) miejsc dla słuchaczy koncertów i 200 miejsc na scenie dla koncertujących artystów. Aby przeszuglować w stolicy inwestycję, budynek przyszłej filharmonii nazwano „zapleczem PSM II stopnia”(!). Koszt inwestycji wyceniono na ówczesne 30 milionów złotych. Co ciekawe, kamień węgielny został wmurowany, kiedy mury zdążyły wyjść powyżej poziomu gruntu. Aktu wmurowania dokonał ówczesny wiceminister kultury Zyg-

Fot. Ryszard Zatorski

WYDARZENIA • OPINIE • LUDZIE



Fot. Janusz Jakubiec

Po koncercie w WDK na 60-lecie FP. Od lewej: Bronisław Pietraszek – II skrzypek (grał w pierwszym składzie debiutującej w 1955 roku orkiestry); Jerzy Dynia – w latach 1985–1989 dyrektor Filharmonii Rzeszowskiej; Dolores Sendlak-Zielińska – grupa I skrzypiec, wieloletnia inspektor orkiestry, Stanisław Panek – puzonista, Ludwik Sowiński – flecista, Marianna Kniż – wiolonczelistka, Maria Dubrawska – pedagog, pianistka, akompaniarka w audycjach filharmonii dla szkół, Wiesław Król – klarnecista, Józef Nawojski – trębacz, Elżbieta Gulczyńska – grupa II skrzypiec, Antoni Walawender – wiolonczelista, Andrzej Kukla – wiolonczelista i ostatni z prawej strony Marian Mosior – klarnecista

munt Garstecki. Budowa obiektu postępowala bardzo opieszale. Przy tej okazji powstało satyryczne hasło: Matko niemowlęcia, załóż swemu dziecku docelową książeczkę na zakup abonamentu do rzeszowskiej filharmonii. Po dojeździe do pełnoletniości twoje dziecko będzie mogło obejrzeć inauguracyjny występ.

Budowa szła dość ospale. Ja już zdążyłem rozpocząć pracę w Redakcji Muzycznej Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. Wielokrotnie bywałem z magnetofonem reporterskim na placu budowy. Z niejakim zdziwieniem patrzyłem, jak dowożeni na budowę z odległych miejscowości chłoporobotnicy po zakończeniu dniówki wsiadali pod plandeki do rozwożących ich do domów ciężarowych samochodów, taszcząc pod pachą po „pół woreczka” cementu... Jak ten gmach utrzyma się w przyszłości? Zadawałem sobie w duchu pytanie. Doszły nowe obowiązki, wywiady z artystami, wyjazdy do Łańcuta na nagrania koncertów i następnie opracowywanie materiałów muzycznych na antenie.

Pierwszy w historii Rzeszowa gmach filharmonii oddany został do użytku 11 stycznia 1974 roku. Nie obeszło się bez problemów, kogo i w jakim rzędzie, a także obok kogo posadzić podczas inauguracyjnego koncertu. Samo życie. Kierowanie placówką artystyczną nie należy do łatwych. Na przestrzeni wielu lat dyrektorowali administracyjne i artystycznie bądź byli dyrygentami: Mieczysław Syta, Jan Gąsiorowicz, Janusz Ambos, Józef Maroń, Tadeusz Chachaj, Andrzej Jakubowski, Stanisław Michałek, Jan Jackowicz, Andrzej Rozmarynowicz, Bogdan Olędzki, Adam Natanek, Józef Radwan, Jerzy Kosek, Wergiliusz Gołąbek, Tadeusz Wojciechowski, Marek Stefański i od ponad 10 lat, obecnie Marta Wierzbieniec. Czy takie zmiany są korzystne? I tak, i nie. Z jednej strony przywiązanie do placówki, a nie traktowanie jej jak stacji przesiadkowej do kariery, z drugiej strony zastrzyk świeżej krwi i zafascynowanie nowością.

Któregoś września 1985 roku, kiedy byłem służbowo w Baranowie Sandomierskim na realizacji nagrań w czasie festiwalu Młodzi Muzycy Młodemu Miastu, z Rzeszowa zatelefonowała żona z informacją, że poszukuje mnie dyrektor wydziału kultury Urzędu Wojewódz-

kiego i że ma propozycję, abym objął stanowisko dyrektora naczelnego filharmonii. Potraktowałem to jako kiepski żart. Nie widziałem się w takim miejscu i w takim charakterze. A ów dyrektor nie ustępował, argumentując, że chce wreszcie ustabilizować sytuację kadrową w placówce i potrzebny jest mu człowiek z Rzeszowa, z wyższym wykształceniem muzycznym i organizacyjną smykalką. Odmawiałem, nie miałem parcia na dyrektorski gabinet. Nie chciałem roztawać się z radiem, mając świadomość, że dziennikarzem się jest, a dyrektorem bywa... do czasu. Ale w końcu stało się. Na Świętego Mikołaja, 6 grudnia, po zaprezentowaniu mnie w sali koncertowej załodze, usiadłem za biurkiem naczelnego dyrektora. I zaraz, jeszcze raz, przyszła refleksja: Na cholere mi to było! Szefem artystycznym i stałym dyrygentem był od roku Józef Radwan, człowiek dialogu, kulturalny. Ale kilka osób nie było mi chętnych, mających własne typy. Stąd wydział kultury szybko dostawał informacje o potknięciach „nie swojego”. Ale jakoś szło. Firma z zadłużenia wyszła na dobre plusy.

W tamtych latach Rzeszów, a w tym orkiestra cierpiała na brak skrzypków. I stało się tak, że do naszej filharmonii przyjechał, aby nawiązać kontakty, ówczesny dyrektor Filharmonii we Lwowie Iwan Matiuch. Gościa należało jakoś godnie przyjąć. Na stoliku w gabinecie dyrektorskim znalazła się nie tylko gorąca kawa. Aby nie było kieliszków, w filiżankach znalazło się co nieco koniaku. Niestety, po chwili z kawy wyparował koniak i niedługo po tym cały korytarz zapachniał pięknym aromatem. Wyszedł na wierzch brak właściwego doświadczenia u gospodarza obiektu. Ale spotkanie świetnie zaowocowało, bo do Rzeszowa zaczęli przyjeżdżać na „wypomóżki” znakomici skrzypkowie ze Lwowa z koncertmistrzem Włodkiem Dudą na czele. Po kilku koncertach i otrzymaniu honorarium, natychmiast swoje kroki kierowali do kantorów, aby wrócić do Lwowa już z nie polską walutą. Patrz ówczesne przeliczniki. Byli wielce ukontentowani. Doszło także do wymiany orkiestr. Nasza orkiestra wystąpiła w maju 1989 roku z powodzeniem we Lwowie oraz w Stanisławowie z Januszem Olejniczakiem i Andrzejem Hiolskim. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Lwowskiej wystąpiła gorąco przyjmowana w Rzeszowie oraz w Krakowie. Byli szczęśliwi.

Na przestrzeni dziesięcioleci festiwal w Łańcucie pięknie się rozwijał. W sali balowej występowało ogromne grono krajowych i zagranicznych artystów. Wymienić wszystkich jest niemożliwe. W roku 1981 nastąpiła zmiana, kierownictwo artystyczne zostało powierzone Bogusławowi Kaczyńskiemu, który zaczął działalność od zmiany dotychczasowej nazwy Festiwalu Muzyki Łańcut i od poszerzenia jego formuły. Nadal organizatorem była i tak jest do dziś filharmonia.

Układ, kiedy spotyka się dwie strony, z których jedna (np. w restauracji) zamawia, a druga to finansuje, nie jest najszcześniejszy. Stąd groźenie placem z województwa pod adresem dyrektora filharmonii; w skrócie: pilnuj budżetu festiwalu, bo jak przewalisz, będziesz płacił ze swoich. I zaraz potem: tylko broń Boże nie zrazić Kaczyńskiego! Efekt był taki, że pompa, czyli dyrektorskie serce, nie wytrzymało i doszło do trwającego kilka tygodni pobytu w szpitalu i w konsekwencji do zmiany życiowego statusu.

Któregoś dnia w listopadzie 1989 roku spotkał mnie na ulicy ówczesny szef rozwijającego się rzeszowskiego Ośrodka TVP. Na pytanie co porabiam i otrzymaniu odpowiedzi, że obecnie spaceruję, stawiam pasjansę i rozwiązuję relaksujące krzyżówki, wykrzyknął: Taki człowiek jest nam potrzebny! Miałem wtedy już za sobą trwającą kilkanaście lat dziennikarską – radiową praktykę i trwającą kilka lat dojeżdżającą współpracę przy realizacji programów telewizyjnych z mocnym Oddziałem Telewizji Polskiej w Katowicach. W połowie grudnia 1989 roku stałem się dziennikarzem współpracującym początkowo z Krakowem, a później z samodzielnym OTV w Rzeszowie.

Nowa rzeczywistość sprawiła, że w stale powiększającym się czasowo programach rzeszowskiego Ośrodka TVP znalazły się coraz częściej relacje z koncertów odbywających się w Filharmonii Rzeszowskiej, dziś Filharmonii Podkarpackiej. Realizację większych form koncertowych uniemożliwiał brak środków finansowych nie tylko na koszty wewnętrzne, ale przede wszystkim na honoraria dla koncertujących, których broniło prawo autorskie i prawo wykonawcze.

Z racji swojego wykształcenia, a także dotychczasowej praktyki, znów bywałem w budynku filharmonii z ekipą filmową, a nawet transmisyjnym wozem realizującym na żywo koncerty. Po zaprzestaniu działalności zawodowej, nadal, jak pilny uczeń, jestem praktycznie na każdym koncercie.

Jest rok 2020, światem wstrząsa pandemia. Nie odbył się 29 kwietnia koncert z okazji 65. rocznicy debiutu koncertowego rzeszowskich filharmoników. W przeszłości, zaplanowane w roku 1963 Dni Muzyki Kameralnej zostały odwołane z powodu groźnej epidemii – pryszczycy. Nie odbędzie się w zaplanowanym terminie kolejny Muzyczny Festiwal w Łańcucie, bo rozszalał się koronawirus. Que sera, sera...

■ Jerzy DYNIA

# PRZEŻYŁEM AUSCHWITZ

## Fragmenty nienapisanego pamiętnika Zbigniewa Bentkowskiego (cz. II)

Zapisał w styczniu 1980 roku na podstawie opowieści Zbigniewa Bentkowskiego, więźnia Auschwitz o numerze 383, przywiezionego przez Niemców do hitlerowskiego łagru w pierwszym transporcie. Zbigniew Bentkowski ur. 9 lutego 1922 roku, zmarł 14 grudnia 1993 r. Pochowany jest w kwaterze byłych więźniów na cmentarzu rzeszowskim w Wilkowyi. Był on inicjatorem stworzenia tej kwatery.

**Pamięć ludzka woli zachować obrazy piękne. I dobrze, bo każdy z nas, który przeżył Auschwitz wspomina tamte lata ze zgrozą i strachem. Tak, ze strachem...**

**NA SŁUPEK.** Próbowaliśmy się urządzić, złapać lepszą robotę. Przychodziły nowe transporty. Niektóre kończyły podróż na rampie. Nie muszę dodawać, dokąd ich prowadzono. Przeważnie Żydów. Z naszego transportu, pierwszego, kto przetrwał początek, szukał lżejszej pracy. W tej masie, w tych tysiącach można się było zgubić. Część pracowała w magazynach, przy kuchni, na rewirze. Ja dostałem się na Bauhoff. Przy torach. Przy tej bocznicy, na którą nas przywieźli. Tam były magazyny. Tam przychodziły transporty z materiałami budowlanymi, z zaopatrzeniem żywnościowym. Tam było dosłownie wszystko. Bo Auschwitz był samowystarczalny. Szybciej można było tu coś zorganizować. Zorganizować? Tym słowem w obozie określało się zdobywanie czegośkolwiek – pożywienia przede wszystkim, odzieży, papierosów...

W barakach, gdzie pracowaliśmy, znalazłem koński cukier. Taką mieszaninę cukru, soli i węgla. Posmarować tym brukiew czy ziemniaka, to jakby człowiek kremówkę jadł. Zorganizowałem cukier. Najadłem się. Chciałem przemieścić do obozu kolegom. Złapano mnie i na słupek.

Dokładnie 11 listopada 1940 roku wisiałem na słupku. Do słupka stawało się jak na bal. Wymyty, odczyszczonym. Okrutna perfidia wobec codziennego brudu. Wiązano ręce z tyłu łańcuchem i podciągano do góry, że ledwie czubkami palców człowiek dotykał ziemi. Wolno było wcześniej rozpiąć tylko spodnie w pasie i bluzę pod szyją. Kiedy się człowiek ułożył, odczuwał mniejszy ból. Wtedy usłuźnice Häftlinga kołysano. Stawy i kości trzeszczały. 11 listopada przed wojną to było święto, a tu takie upokorzenie. Kłamię, strasznie kłamię, jak nigdy w życiu. W tej złości wytrzymałem godzinę kary. Zdjęty, padłem bez życia. Wydawało mi się, że puchnę, że kości mam połamane. Kolega mi pomógł, Mietek Janiszewski – numer 711, wymasował... Znowu żyłem!

**LISTY. KRZYŻYK. UCIECZKI.** Wolno było otrzymać jeden list w miesiącu i jeden napisać. Tylko po niemiecku. Każdy opatrzony stemplem lagrowej cenzury. Mój pierwszy list, z sierpnia 1940 roku: „Kochani Rodzice! Ja znajduję się w obozie koncentracyjnym w Auschwitz od 14 czerwca. Jestem zdrowy i zadowolony. Piszcie, co u Was nowego słysząc, czy wszyscy w domu zdrowi. Wy możecie pisać tylko w języku niemieckim. Jest tutaj kantyna, w której można przeróżne artykuły żywnościowe kupić, ale do tego potrzebne są niemieckie pieniądze.

Wszystkie zarządzenia muszą tu być przestrzegane. Wiele serdecznych pozdrowień przesyła Wam Zbyszek i Jurek”. Jurek Jaroch się wtedy chyba dopisał, bo sam pewnie już jeden list wysłał, to w ten sposób dawał znak że żyje.

Ten list jest jeszcze pisany na normalnej kartce papieru. Potem były znormalizowane wzorce, wydrukowane, z miejscem na korespondencję. Wszystkie są do siebie podobne „Jest mi bardzo dobrze, dziękuję za paczkę...”. Wszystkie kończą się tym samym zwrotem: „Ich bin gesund und fühle mich gut...” (Jestem zdrowy i czuję się dobrze). Drugie imię mam Edward. Chcąc o sobie coś napisać, np. gdzie aktualnie pracuję, pisałem w osobie trzeciej, że „Edzio pracuje na tym samym miejscu, pieniądze otrzymuje”. Pisałem! Przecież ja nie znałem niemieckiego. Leszek Piviroto najczęściej to robił dla mnie, dla innych. Niemiecki poznawaliśmy bardzo szybko, to była kwestia życia. Więzień bez pozwolenia nic nie mógł zrobić. O pozwoleniu można było prosić jedynie w języku oprawców.

W czterdziestym trzecim roku, w lecie to było, znalazłem przed blokiem ten właśnie krzyżyk. Schować, nie schować – myślę. I przypomniałem sobie matkę. Miała sen. Krzyż jej się śnił kilka dni przed 1 maja czterdziestego roku. – Niestety jakieś nas czeka – powiedziała wtedy – to zły znak. Myślę, może ten krzyżyk przyniesie mi szczęście. Udało mi się go ukryć i przechować... Ile razy na niego spjrzałem, to widziałem mamę.

Zaczęły się ucieczki. Dla odstraszenia powieszono 19 lipca 1943 r. dwunastu współtowarzyszy z komanda za zbiegłego więźnia. Szubienice na placu apelowym ustawiono i na oczach wszystkich. Mimo codziennego widoku śmierci – bo zawsze z pracy nieśliśmy kilku zmarłych, zawsze na apel i rano wynoszono kilka trupów – było to przygnębiające wrażenie. W ogóle pierwszy to uciekł Wiejowski w 1941 roku. Karny apel trwał od osiemnastej w sobotę do czternastej w niedzielę. Masa ludzi wtedy zmarła.

**KATORŻNICZA PRACA.** Pamiętam ważyłem wtedy 46 kilo i nosiłem po dwa półmetrowe worki cementu. Biegiem. Kto się przewrócił, tego worki przygniotły i dobili go pałami. I apele. Zmora każdego wieczoru. Długo kilkugodzinne apele. Zima czy lato jednakowo. Mroz, śnieg czy deszcz. I ciągła niewiadoma. Ileż to razy zdarzyło się, że idziemy z pracy, w kolumnie oczywiście. Podchodzi Niemiec, ściga więźniowi czapkę z głowy i rzuca, wska-



Häftling numer 383 – Zbigniew Bentkowski. Zdjęcie wykonane w Lubece po wyzwoleniu.

zując, by ją przyniósł. Gdy ten wychylił się z szeregu, dostał kulę „za chęć ucieczki”. Nikogo, powiadam, nie interesowało, dlaczego numer taki to a taki stawał się trupem. Psu było wolno wejść na trawnik, do więźnia za to strzelano.

Wymagano od niewolników ślepego posłuszeństwa. Na dachu kuchni, frontem do placu apelowego wywieszono Sieben Milensteine tzw. siedem kamieni miłowych, siedem zasad, których należało przestrzegać: 1. Gehorsam (posłuszeństwo), 2. Fleisig (pilność), 3. Ordnung

(porządek), 4. Sauberkeit (czystość), 5. Vahrhaftigkeit (prawdomówność), 6. Opersin (ofiarność) und Liebe zum Vaterland (i miłość do kraju ojczystego). Tę ostatnią zasadę potem skreślono, bo przecież większość więźniów za miłość do kraju ojczystego właśnie cierpiała w lagrze.

**PRZED WYZWOLENIEM.** 29 października 1944 roku ponad dwa tysiące więźniów wywieziono do Oranienburga-Sachsenhausen. Do zakładów lotniczych Heinkla. Tak znalazłem się pod Berlinem. Pociągami towarowymi nas wieziono, głodnych. Jedyną radość, pamiętam, przeżywaliśmy z nalotów na Berlin. Tam się już prawie nie pracowało, bo ciągłe bombardowania przeszkadzały. Potem przyjechali „kupcy” i wybierali robotników – więźniów. Ja się sprzedałem do Siemens pod Münden do Porta Westphalica. Przenosili tam fabrykę Philipsa z Holandii do Niemiec. Robota w sztolni, ciepła. Z cywilami. Pilnowali nas lotnicy inwalidzi, którzy już poznali gorzyc wojny. Już nas nie bito. Spokojniej się obchodzono z nami.

Wreszcie kwiecień 1945. Ewakuacja obozu. Z nagle w nocy zapędzili wszystkich do wagonów. Jechaliśmy nie wiadomo dokąd. Krążyliśmy w kołko, bo ciągle zbliżaliśmy się to do Amerykanów, to do Anglików, to do Rosjan. Przypuszczam, że próbowali nas załadować na statki, ale nie zdążyli. Ta podróż usłana jest trupami. Ludzie marli masowo – z wycieńczenia, z głodu.

I pamiętny dzień 20 kwietnia. Urodziny, Geburtstag Hitlera. Byliśmy wtedy w jednym z przejściowych obozów, bo jak nas tak tydzień wozili, to robiono dwu-, trzydniową przerwę. Ostatni Geburtstag Hitlera. Bombowce angielskie i amerykańskie zakryły niebo. Jeden wielki grzmot. Zdało się – ziemia spod nas ucieka. Wszystkie sły na Berlin. Jak myśmy się wtedy cieszyli.

12 maja 1945 roku. Nagła cisza. Gdzieś koło południa wjechał do obozu amerykański czołg. Otwiera się czapa na wierzchu, wychodzi

żołnierzy i łamaną polszczyznę do nas: – Jesteście wolni, możecie iść, gdzie chcecie. Gdzie można iść? Wszyscy rzucili się do kuchni, pod magazyn i dalej ładować ziemniaki do kieszeni. Potem wyszliśmy na ulice. Kolumny jeńców niemieckich. Na stacji stały nieodprawione niemieckie wagony z żywnością, odzieżą i bronią. Ziemniaki wymieniliśmy na konserwy, pasiak na szare niemieckie ubranie. Kąpiel... Na hasło: „Polish... koncentration...” – wszystko było otwarte dla nas.

**DLACZEGO PRZEŻYŁEM?** Lubeka. Tam wolność. Tam choroba. Odmę miałem. W lewym płucu dziurę wielkości śliwki. Leczenie. Powrót do kraju. Do Rzeszowa dopiero w 1946 roku. Gdy mnie ktoś pyta, jak mogłem

przeżyć tyle lat w lagrach, to wydaje mi się, jakby mi wyrzucił, że nie wyszedłem stamtąd kominem. Deski-smoła-papa nagrzone, wydzielają specyficzny zapach... Jeszcze dziś to czuję. Ten zapach dymu z krematoriów Birkenau...

Gadają Szwaby na Zachodzie, że krematoria, że obozy to fałsz, komunistyczna propaganda. Ale tych zbrodni nie da się ukryć. Nie można żyć ciągle tą gehenną, choć wraca i straszy. Gdy się spotykamy, byli więźniowie, nie możemy się opędzić od wspomnień. Ci, którzy urodzili się później, niech wybaczą lagrowcom ich obsesję.

Co roku w rocznicę wyzwolenia Oświęcimia spotykamy się tam, by uczcić pamięć

pomordowanych. Złożył kwiaty pod Ścianą Śmierci przy Bloku 11 i pomnikami: w Brzezince, Monowicach (Auschwitz III) i miejscu, gdzie zginął Kostek Jagiełło – więzień uciekinier, dowódca Oddziału Bojowego „Oświęcim”, ułatwiający innym drogę wolności. Jedziemy tam, członkowie Klubu Byłych Więźniów Oświęcimskich z całej Polski. Co roku nas mniej. Bo jedyna to organizacja, w której nie przybywa członków.

■ Zanotował Ryszard ZATORSKI  
W całości tekst ten był drukowany w „Profilach” nr 4 (133) w kwietniu 1980 r.

## PORTRET CESARZA DOBROTLIWY

### Franciszek Józef I dwa razy zawitał do Rzeszowa



**Andrzej Grzywacz**

**D**ługie panowanie, szeroka autonomia dla Galicji i Węgier oraz osobisty urok i bezpośredniość utrwaliły obraz pogodnego i sympatycznego ostatniego cesarza monarchii austro-węgierskiej Franciszka Józefa I.

Do legendy przeszły audyencje, przywilej każdego poddanego, który miał prawo raz w życiu być przyjętym osobiście przez cesarza i wysłuchanym. Było to w poniedziałki i czwartki w Hofburgu. Wizyta trwała kilka minut. Monarcha stał obok biurka i uważnie słuchał petenta, który najczęściej dziękował za awans, order lub tytuł i zapewniał o lojalności. Mógł jedynie odpowiadać na pytania, co do dzisiaj jest zwyczajem w kontaktach z papieżem.

Inną formą relacji Franciszka Józefa z poddanymi były podróże inspekcyjne. 14 października 1851 roku zawitał także do Rzeszowa, goszcząc dwa dni, co opisała „Gazeta Lwowska”: „Cesarz spotkał się z miejscowym obywatelstwem, dokonał lustracji wojsk, wziął udział w uroczystym obiedzie. Rzeszów był pięknie

udekorowany i oświetlony. Następnego dnia odwiedził sąd karny, szpital wojskowy, koszary i gimnazjum”.

Franciszek Józef odwiedził Rzeszów również w 1886 roku, ale zatrzymał się tylko na dworcu, gdzie zgotowano mu powitanie. Za galicyjską encyklopedią *Austriackie gadanie* przytoczę anegdotę. Otóż tego dnia w Rzeszowie namiestnik Galicji, Filip Zaleski, zapomniał powiadomić cesarza o obecności na peronie delegacji Rady Miejskiej. Swoją błędą spozostę, kiedy pociąg ruszył, i natychmiast zawiadomił cesarza o pobycie notabli, „co Najjaśniejszy Pan do swej świadomości przyjął raczył i pozdrowienia przesłał”.

Panowanie Franciszka Józefa przypadło na lata budowy kolei Wiedeń – Lwów, przez Kraków, Rzeszów i Przemyśl. Monarcha, który niechętnie korzystał z nowinek, chociażby z automobili, wyróżniał kolej i szanował kolejarski stan. Co wyraził słynnym powiedzeniem: „Kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej!”.

Podróżował pociągiem dworskim, złożonym z kilku ekskluzywnych wagonów mieszczących także kuchnię, miejsca dla świty i licznych bagaży. Skład prowadził stały i doświad-



To zdjęcie Franciszka Józefa I wisi w pokoju w mieszkaniu autora i pochodzi z jego osobistych zbiorów

czony nadworny maszynista Jakub Haas, przemyslanin. Ale to historia na osobną opowieść. Tak samo jak związane fakty i anegdoty.

■ Andrzej GRZYWACZ

## CZY BÓG STWORZYŁ ŚWIAT?

### Przetrwamy cokolwiek się zdarzy

**W**ydawnictwo Znak w ostatnich dniach wprowadziło do obiegu ekscytującą nowość. To zyskująca na świecie szczególne uznanie książka *Życie – fascynująca podróż przez cztery miliardy lat* hiszpańskiego naukowca Juana Luisa Arsuagi. Z przesłaniem jakże teraz optymistycznym: „Skoro życie na Ziemi trwa od czterech miliardów lat, poradzi sobie w każdych warunkach. Przetrwamy cokolwiek się



zdarzy”. Czytając, uczestniczymy w niesamowitej podróży, której celem jest odkrywanie tajemnic życia. Autor opowiada nam przystępnie i obrazowo, jak i dlaczego powstało życie na Ziemi, jak wiele było nierzadko krytycznych momentów.

Próbuje też odpowiedzieć na pytania, na które każdy chce znać odpowiedź: Czy Bóg stworzył świat? Kiedy życie na Ziemi się skończy? Jak powstają i kształtują się różne organizmy?

Czy istnieje życie poza Ziemią? Uczestniczymy w porywającej podróży po ścieżkach ewolucji, zastanawiając się, czy altruizm to nasz naturalny instynkt, czy też jest nim agresja i walka o przetrwanie? Jak to się dzieje, że jedne organizmy pojawiają się, inne znikają i jakie mechanizmy o tym decydują wśród roślin i zwierząt. Co było potrzebne dla wykształcenia się kreatywności i inteligencji. Czy ewolucja dobiega końca, czy to początek nowego?

Autor jest biologiem i paleontologiem, który czterdzieści lat bada ewolucję i historię życia na Ziemi. Wykłada w Madrycie oraz m.in. w Cambridge, Berkeley i Tel Awiwie. *Życie – fascynująca podróż przez cztery miliardy lat* jest czołowym bestsellerem w Hiszpanii i jedenastu innych krajach. Warto przeczytać!

■ Andrzej PIĄTEK

# JASNA I CIEMNA STRONA MOCY

## Pojawiają się anioły i demony



**Dorota Dominik**

Zapewne dla większości czytelników skojarzenie z filmową sagą *Gwiezdne wojny* będzie oczywiste. Seria filmów o Rebeliantach walczących z Imperium, z założenia kiedyś kierowana do młodej widowni, po latach nadal stanowi ważny kod kulturowy starszego pokolenia, do którego wracamy chętnie. W ciężkich czasach stały się *Gwiezdne wojny* metaforą czasów trudnych, stąd potrzeba serca powracania do baśni i legend o walce dobra i zła, w których dobro zawsze zwycięża. Czasy mamy trudne, oczekujemy raczej trwania problemów, a nawet – jak mówią pesymiści – pogłębiania się zapaści, kryzysu, pożaru Puszczy Biebrzańskiej i wszelkich plag, jakie spadły i spadają na znękany ród ludzki. Przysłowiowy „koniec świata” zapewne szybko nie nastąpi, ale uruchamia w nas rozmaite emocje i zachowania, jakich zapewne sami się nie spodziewaliśmy.

W odniesieniu do wszelkich kryzysów człowiek potrafi zachować się jak bohater i jak ostatnie bydło. Uwypuklają się wybory, jakich musi człowiek dokonać, bo pandemia zmieniła i będzie zmieniać nasze priorytety. Godzimy się na ogr-

niczanie praw i wolności obywatelskich w imię bezpieczeństwa biologicznego. Pojawia się tzw. wspólnota izolacji, polegająca na codziennym sledzeniu pogarszających się informacji o liczbie chorych, wspólnota strachu, nadziei, niepewności, gniewu, złości i niepokoju o bezpieczeństwo w przyszłości – o pieniądze, pracę. Wszystkie te strachy skutecznie są podgrzewane przez media, które straszą nas owym Armagedonem – sama już nie wiem, czy z cynizmu (ogłędalność), czy z głupoty dzieciaka podpalającego firankę (jak fajnie się pali!).

Jak zwykle też polaryzują się ludzkie postawy – pojawiają się anioły i demony. Jedni pozostają po jasnej stronie mocy, tworząc sieć wsparcia: szyją maski, produkują przyłbice ochronne, dostarczają za darmo czy prawie za darmo żywność i wodę medykom, strażakom, ratownikom, robią seniorom zakupy. Piękne gesty chętnie utrwalają w sieci, nagrywając piosenki „dla bohaterów”. Anna Krzezińska, psycholog, nazywa ich tymi, którzy wybrali drogę „jasnej strony mocy”, otwierania się na świat, na życie, na innych ludzi. Drogę akceptowania tego, co przychodzi, drogę odwagi i umiejętności przekraczania życiowych progów. Branie odpowiedzialności za swoje decyzje, jak ów wolontariusz, który postanowił na

W krajach zasobnych ludzie cierpią na groźną dla życia obsesję bezpieczeństwa. [...] Musimy być porządnie przestraszeni, żebyśmy chcieli wydać duże pieniądze na zapewnianie sobie poczucia bezpieczeństwa. Ten stary marketingowy trik działa na każde pokolenie. Wojciech Eichelberger, psychoterapeuta, dla „GW”, kwiecień 2020

dwa tygodnie zamknąć się z pensjonariuszami i personelem w domu pomocy społecznej (ku przerażeniu, ale i za zgodą rodziny), albo informatyka, który bezpłatnie zmontował i naprawił 200 komputerów dla wykluczonych cyfrowo uczniów. Dusza raduje się, oglądając tych „sercopozytywnych”, jednak ciemna moc nie śpi. Ludzie zdominowani przez lęk, projektujący scenariusze przyszłych niepowodzeń, uruchamiający wszystkie opory z przyćmionymi emocjami obrazem rzeczywistości, co staje się podstawą do podejmowanych takich decyzji, jak żądanie sąsiadów, aby mieszkająca w ich bloku lekarka natychmiast się wyprowadziła, czy wyganianie ze sklepu ratownika medycznego po dyżurze. Złość i hejt odbierające rozum...

Takie oto refleksje pandemiczne, czy jesteśmy po jasnej, czy ciemnej stronie mocy? W zapomnianej lekturze, która na powrót stała się czytelnym hitem czasów zarazy, znalazłam takie zdanie: „Trzeba tylko iść naprzód w ciemnościach, trochę na oślep i próbować czynić dobrze” (Albert Camus, *Dżuma*).

■ Dorota DOMINIK

# PRAWO RÓWNYCH SZANS

## 100-lecie polskiej ustawy spółdzielczej



**Edward Stupek**

W dniach, gdy wąż się losy wyborów prezydenckich, oraz w szczyt pandemii koronawirusa, gdy przez to grozi nam nieznan od lat kryzys, godzi się przypomnieć mroczne czasy walki o bycie albo nie bycie istnienia Polski. Latem 1920 roku Armia Czerwona kroczyła od zwycięstwa do zwycięstwa. Jedyną przeszkodą do podbicia Europy była niepodległa Polska.

W tej sytuacji 24 lipca powołano ponadpartyjny Rząd Obrony Narodowej, na czele z reprezentantem chłopstwa premierem Wincentym Witosem, wywodzącym się z PSL Piast, z najważniejszym zadaniem obrony państwa. Aby to osiągnąć, ogłosił zwalczanie jakichkolwiek partyjnych interesów. Zadeklarował wcielenie reform uchwalonych przez Sejm, poskromienie nadużyć władzy, wprowadzenie rządów prawa. Zdawał sobie sprawę, że głównym sposobem obrony ojczyzny będzie powstrzymanie negatywnego oddziaływania haseł i propagandy bolszewickiej na społeczeństwo, czyli bitwa na płaszczyźnie ideologicznej. Jego wicepremierem został Ignacy Daszyński – socjalista, reprezentant klasy robotniczej, przewodniczący rady naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej. W ten sposób dano sygnał bolszewickiej Moskwie, że na drodze do zdobycia Polski staną

rząd jedności narodowej robotniczo-chłopski, wtedy zwany włościańsko-proletariackim.

Nowy rząd jako strategiczne oparcie znalazł w lansowaniu spółdzielczości znanej społeczeństwu od XIX w. Przypominano spółdzielczość jako umożliwiającą godne życie, bezpieczne oszczędzanie, obronę przed lichwą. Przypominając spółdzielnię Stefczyka, wzywano m.in. żołnierzy do przystępowania do spółdzielni mieszkaniowych oraz zajmujących się usługami spożywców. Przeciwwagą dla naszego rządu było ogłoszenie *Manifestu do polskiego ludu robotniczego miast i wsi*, który podpisali m.in. Julian Marchlewski i Feliks Dzierżyński, sygnujący się jako Komitet Rewolucyjny Polski, czyli nic innego jak przekształcenie Polski w republikę sowiecką.

Słowa manifestu spotkało kontruderzenie rządu Witosa i Daszyńskiego oparte na reformie rolnej, a zwłaszcza na ideach spółdzielczości, którą ziemie Polski znały od czasów Staszica. Wizja spółdzielczości była dla społeczeństwa znana, a komunizm wojenny, który propagowali komuniści, przerażał. Ustawa z lipca 1920 r. w sprawie reformy rolnej zapowiadała realizację idei spółdzielczości. Po zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 r. określonym jako „cud nad Wisłą” dotrzymano słowa narodowi i wojsku, uchwalając 29 października 1920 r. Ustawę o spółdzielniach. Uchwalona ustawa spółdzielcza przez prawnicze środowiska europejskie uznana została wręcz za wzorową.

Wielu ustawodawców w Europie wzorowało się na jej nowatorskich zapisach, jak choćby Niemcy i Austriacy. Spółdzielczość w PRL, chociaż zawłaszczona, była enklawą demokratycznego gospodarowania, oczywiście trochę w wyznaczonym kształcie. Dzięki spółdzielczości powstały miliony mieszkań w wyniszczonym wojną kraju. A posiłkując się spółdzielczym systemem gospodarowania, nie doszło także do bolszewickiej kolektywizacji wsi.

Obecne rozumienie idei spółdzielczej jest wadliwe, niedostateczne. Politycy uchwalający przez 30 lat prawo uważają spółdzielnię za podmiot jak każdy inny, powtarzając to z uporem zasady propagandowej. Międzynarodowa definicja spółdzielni nie odbiega od naszej i brzmi: spółdzielnia jest autonomicznym zrzeszeniem osób, które zjednoczyły się dobrowolnie w celu zaspokojenia swoich wspólnych aspiracji i potrzeb ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, poprzez współposiadane i demokratycznie kontrolowane przedsiębiorstwo. Zatem jest to zrzeszenie osób, a nie kapitału. Zrzeszenie dobrowolne. Zaspokaja własne potrzeby członków i nie maksymalizuje zysków. Stanowi wspólne przedsiębiorstwo, a więc wspólną własność, chociaż prywatną, ale nie indywidualną. Można powiedzieć, że w dzisiejszym skomercjalizowanym świecie jest pewną ideą – ideą dobra wspólnego. Dlatego spółdzielnie powinny powstawać, aby rozwiązywać problemy gospodarcze ludzi, które nie są do rozwiązania w pojedynkę. To wymaga wiedzy, stąd chwała powstałemu Instytutowi Spółdzielczemu na Uniwersytecie Rzeszowskim ze skromnym naborem na studia podyplomowe.



Państwo nasze powinno być zainteresowane tworzeniem spółdzielni. Konstytucja stanowi, że podstawą ustroju gospodarczego RP jest społeczna gospodarka rynkowa itd. W moim przekonaniu jest odwrotnie. Przekornie to kapitalizm koncentruje własność w rękach wąskiej grupy posiadaczy, często

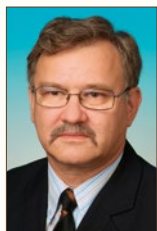
anonimowo. Spotkamy się niebawem, albo już tego doświadczamy, z ogromnymi nierównościami społecznymi, zadłużeniem społeczeństwa. Przywołując przy okazji rocznicowej piękną kartę polskiej spółdzielczości, chciałbym zaproponować na złe czasy rozwiązania przeciwstawiające się egoizmowi

współczesnego kapitalizmu – zaproponować solidaryzm, wzajemną pomoc, zrozumienie i życzliwość. Ofertę bogactwa dla nielicznych zastąpmy prawem równych szans dla wszystkich.

■ Edward SŁUPEK

## Ludzie zaczynają się budzić

### Poważne choroby zamiatane pod dywan



Bogusław Kobisz

Od kilkunastu lat przez świat przelewają się fale informacji o pedofilii i homoseksualizmie w Kościele katolickim. Niestety dotyczy to w dużej mierze również polskiego. Może jestem nieco przewrażliwiony na tym punkcie, ale nie bez powodu. Mój stosunek do duchownych kształtowały zdarzenia dotyczące bezpośrednio moją bliższą i dalszą rodzinę. Ciotka wyjechała z księdzem do Ameryki, córka kuzynki ksiądz zabił samochodem po pijanemu, a inną nieletnią kuzynkę ksiądz zapłodnił i wywiózł za granicę, unikając wszelkiej odpowiedzialności.

Zawsze irytowały mnie przypadki niewłaściwego zachowania się osób duchownych, szczególnie te, które stanowiły pospolite przestępstwa, takie jak gwałt, pedofilia, molestowanie, kradzież, gdyż uważam, że kapłan to osoba obdarzona szczególnym zaufaniem społecznym, która zdecydowała się być dla innych przykładem.

Ujawniane na świecie liczne przypadki pedofilii w Kościele świadczą o tym, że sprawy te mają swój początek, jeżeli nie setki, to dziesiątki lat temu. Przypadki tak zachowujących się kapłanów były zamiatane pod dywan tak przez hierarchów kościelnych, jak i organy państwowe. Księża byli najczęściej rozgrzeszani przez swoich parafian, ludzie bali się przyznać, że coś złego spotkało ich z tamtej strony, gdyż wiedzieli, że przyjdzie się im zmierzyć z całą potęgą Kościoła. Bardzo rzadko na zło wyrządzone przez księdza reagowali biskupi, do rzadkości należały sprawy, które otarły się o wokandę sądową, a jeśli już, to zapadały łagodne wyroki.

Księża od dawien dawna byli traktowani przez wymiar sprawiedliwości na całym świecie według tzw. taryfy ulgowej. Ta sytuacja wynika-

ła wprost z tego, że według takiej samej taryfy traktowani byli przez swoich parafian, że ludzie nie bulwersowało łagodne traktowanie duchownych. Ta bezkarność doprowadziła do tego, że duchowni zaczęli zachowywać się wedle powiedzenia „hulaj dusza piekła nie ma”. W wielu przypadkach, szczególnie w mniejszych miejscowościach, pozycja księdza jest tak mocna, że mimo dowodów popełnienia przestępstwa – napiętnowana jest ofiara, a nie sprawca.

Może liberalne podejście do księży wynikało po części z troski o swoją karierę zawodową i polityczną. Od najmłodszych lat słyszałem „kto ma księdza w rodzie, tego bida nie ubodzie”. Powszechnie wiadomo, że póki politycy (obecnie PiS) zabiegają o względy Kościoła, bo dobre słowo wypowiedziane w Radiu Maryja czy Telewizji Trwam, a jeszcze lepiej przez samego ojca Rydzyska, wiele znaczy. Niektórym wystarczy tylko, żeby źle o nich nie mówiono. Dzisiaj widzimy, do czego takie postawy doprowadziły, do czego doszło! W XXI wieku w erze światłowodów, Internetu, LGBT społeczeństwo oczekuje na to, żeby Kościół raczył opracować raport o pedofilii w swoim środowisku. Czy to nie kuriozum? Gdzie policja i inne służby, prokuratura, sądy i inne organy państwa polskiego? W pierwszej kolejności przelożony księdza, na którego skargę zgłosił ktokolwiek, powinien ją doręczyć na policję. Owszem, równoległe powiadomić też biskupa, a ten wyżej. Otóż wszyscy proboszczowie i biskupi, którzy pierwsi powzięli informację o przypadkach pedofilii przez konkretnego księdza i poprzestali jedynie na odsunięciu go od obowiązków czy zmianie parafii, powinni odpowiadać karnie za zatajanie przestępstw, a często za pomoc w nich. Zdarzało się bowiem często, że przenoszeni księża przenosili swoje upodobania na inne parafie.

Czy takie filmy jak *Kler* mają w Polsce uruchamiać wymiar sprawiedliwości? Raport o pedofilii w Kościele polskim powinien być

drobiazgowo przeanalizowany pod kątem odpowiedzialności karnej i jednocześnie poddany pod ocenę społeczną. A tak w ogóle, taki raport powinna opracować powołana przez państwo komisja pozarządowa z uprawnieniami śledczymi, która by wykryła i wypełniła tę zarzę, jaką jest pedofilia w Kościele. Odnoszę wrażenie, że hierarchowie polskiego Kościoła nie mają zamiaru dociec prawdy, a na pewno nie mają zamiaru jej ujawniać. Biskupi, przedstawiając tzw. raport, po raz kolejny pokazali, że są ponad prawem i mają za nic organy państwa i społeczeństwo. To, co opowiadali na konferencji prasowej biskupi Gądecki i Jędraszewski, woła o pomstę do nieba. Powiedzieli, że pedofilia to społeczny, światowy problem, i wyrazili troskę o społeczeństwo, pytając: „Co będzie, jak my zlikwidujemy pedofilię w Kościele, a pozostanie w społeczeństwie”. Na koniec skrytykowali kartę o edukacji seksualnej dzieci LGBT + i zalecenia WHO w sprawie standardów edukacji seksualnej dzieci i młodzieży. Stwierdzili, że programy te naruszają intymność dzieci w imię wizji człowieka, bez znajomości psychologii rozwoju dziecka. Istny bełkot. Później nastąpiło szczucie rodziców tych, którzy dzieci już odchowali lub bezgranicznie wierzą biskupom, na tych, którzy chcą, aby dzieci rozumiały różnice płciowe, dowiedziały się, co to jest zły dotyk itp. Trochę kłamliwej statystyki i przykrycie problemu innym tematem, wychowania seksualnego dzieci. Żenada!

Ale dzięki mądrym i uczciwym ludziom nastąpił wyłom. Wyrok w Australii, jaki otrzymał kardynał George Pell (6 lat do odsiadki) oraz we Francji kardynał Philippe Barbarin, to dobre sygnały. Ludzie zaczynają się budzić, a ci, którzy jeszcze się nie przebudzili, niech nie dziwią się talibom, arabskiej policji religijnej i obyczajowej oraz samozwańczym państwom islamskim.

■ Bogusław KOBISZ,  
prawnik

## ARCYDZIEŁO CZY KNOT?

Głos z widowni o filmie *Boże Ciało*

Z kościołem w Jaśliskach zetknąłem się przed laty na trasie mojej wędrówki ze Stanisławem Kłosem, którą odbywałem po Beskidzie Niższym. Pracowaliśmy wtedy nad nowym albumem o Podkarpaciu i tak zahaczyliśmy o Jaśliska. Wstąpiliśmy do neobarokowego kościoła z XVIII wieku pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej, gdzie zresztą byłem po raz pierwszy. W ołtarzu zwrócił

moją uwagę obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, zwanej Jaśliską, siedzącej na tronie.

Akurat przechodziła przez kościół siostra zakonna, więc zapytałem, czy mogę zrobić zdjęcie. – A, proszę bardzo – usłyszałem. Poszedłem zatem do samochodu po statyw, a kiedy siostra zobaczyła mnie z oym ustrojstwem powiedziała: – O, aż tak, to nie.

Nie było wyjścia, trzeba było pójść na plebanię. Proboszcz nie miał żadnych obiekcji, bo powiedział: – Panowie, najpierw zapraszam na obiad, potem będziecie fotografować. – Tak oto połączyliśmy sprawy duchowe i zawodowe z doczesnymi, połączone z miłą rozmową z księdzem proboszczem.

Wspomnienie o Jaśliskach przywołałem w wielkanocny wieczór po projekcji filmu *Boże Ciało* w telewizji (Canal +). Bo tam, w kościele i na plebanii, toczy się głównie akcja filmu. Czekaliśmy w nadziei, że zobaczą arcydzieło (no, może prawie), gdyż filmowi towarzyszyła aura szczególne-

go podniecenia. Nasi Czytelnicy zapewne znają temat. Dwudziestoletni Daniel zostaje warunkowo zwolniony z poprawczaka, gdzie przechodzi przemianę duchową i skrycie marzy, by zostać księdzem. Wyjeżdża na drugi koniec Polski, żeby pracować w zakładzie drzewnym. Zamiast tego, póki co, wchodzi do kościoła (w Jaśliskach właśnie!) i tu się zaczyna cała historia filmu: oszust „zostaje” księdzem!

Po obejrzeniu filmu przeżyłem srogi żądł. Właściwie nawet niesmak. Film jest słaby, źle zrobiony, fabuła nie trzyma się kupy. Oto młody człowiek przyjeżdża do tartaku, wstępuje na chwilę do kościoła i ni stąd, ni zowąd informuje obecną w kościele dziewczynę, że jest księdzem. Z torby podróżnej wyjmuje sutannę z koloratką (skąd wziął?) i melduje się w zakrystii. Powstają pytania. Dlaczego z miejsca pracy, do którego miał się zgłosić, nikt go nie szuka? Dlaczego poprawczak nie został zawiadomiony, że „pensionariusz” nie dotarł do miejsca przeznaczenia? Dlaczego z kurii biskupiej nie ma skierowania do parafii? Żeby było dziwniej, dotychczasowy proboszcz zostawia młodemu parafie na głowie, a sam idzie na odwyk. No i nasz „ka-



Bartosz Bielenia w filmie „Boże Ciało”

plan” działa: odprawia msze, spowiada i w ogóle bawi się w księdza. Ale księdza nowoczesnego, bezformułkowego, bo innego, tradycyjnego się nie nauczył, nie będąc nigdy w seminarium. Daniel trafia przy tym na społeczność żyjącą w traumie po tragicznym wypadku, w którym zginęło sześć osób, więc wszystko wrze jak w ukropie.

Oczywiście, film to fikcja, ale fikcja musi mieć jakieś podstawy, jakiś sens. Mimo to nad filmem unosi się aura zachwyty. Ochy i achy nie mają końca, aż nadchodzi sen o Oscarze.

Janusz Wróblewski w „Polityce”: „Świetnie, po amerykańsku, opowiadane *Boże Ciało* wydaje się psychoterapeutycznym moralitetem. Trzyma w napięciu lepiej niż klasyczne westerny, egzorcyzując najciemniejsze polskie kompleksy. [...]”

Czyś ty chłopie oszalał – śpiewał lud na weselach. A Tomasz Zacharewicz tokował: „Powstał w Polsce jeden z najsmądniejszych filmów ostatniego 25-lecia. Falszywy ksiądz pokazał bezcenną, lecz często trudną do uchwycenia na filmowej taśmie, prawdę i to bez cudów. Z jednym objawieniem. Aktorskim”.

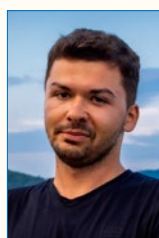
W filmie jest pełno wulgaryzmów, nie tylko słownych. Panu reżyserowi wydaje się, że jeśli w filmie nie ma „od przodu” i „od tyłu”, to nie jest to nowoczesny film. Nie było też w filmie polskim takiego steku wulgaryzmów, jaki z ekranu płynie w scenach na barce na przystani. Wulgaryzm raz użyty może mieć uzasadnienie, powtórzony sto razy i w stu odmianach jest idiotyzmem. I to jeszcze w towarzystwie księdza (przecież ci młodzi nie wiedzą, że to ksiądz fałszywy!).

Oscara w końcu nie było. Widocznie Amerykanie się nie poznali...

■ Józef AMBROZOWICZ

## KSZTAŁCENIE ZDALNE

### Studia w czasach zarazy



Kamil Łuka

Sytuacja związana z szybkim Sroprzestrzenianiem się koronawirusa niewątpliwie sparaliżowała społeczeństwo. Gospodarka w znacznym stopniu została zamrożona, a wszystkie dotychczasowe plany i zamierzenia związane z takimi sektorami, jak turystyka, usługi, imprezy masowe, gastronomia czy transport, zostały przyćmione przez oblicze pandemii. W dobie tak wielkiego, lecz również i niespodziewanego kryzysu, zaczęto szukać sposobów, które możliwie najbardziej zniwelują skutki wprowadzanych przez rządy państw obostrzeń.

Szkolnictwo wyższe to obszar, który także został funkcjonalnie tymczasowo przemodelowany, aby dostosować się do najnowszej sytuacji, a tym samym zapobiec całkowitemu przerwaniu na jakiś czas toku kształcenia. Takie zawieszenie skutkowałoby oczywiście nieuniknionym chaosem organizacyjnym, który wymuszałby pracę w okresie następującym po zniesieniu ograniczeń związanych z sytuacją epidemii, a ten nie jest nawet znany. Czynniki budzącymi obawy jest uzasadniony strach, niewiedza czy niemoc w przewidywaniu, kiedy nastąpi przełom, jak sytuacja będzie się zmieniać i wreszcie – w którą stronę będzie podążać?

Dzięki nowoczesnej technologii zajęcia prowadzone są w sposób zdalny za pomocą

oprogramowania do tworzenia wideokonferencji. Materiały dydaktyczne studenci otrzymują także poprzez studenckie skrzynki mailowe czy inną drogą elektroniczną za pośrednictwem starostów. Niemniej jednak nikt nie jest w stanie obecnie zagwarantować czy określić, w jaki sposób przebiegać będą zaliczenia, egzaminy czy też obrony prac dyplomowych. Czy wszystko odbędzie się zdalnie? Czy do tego czasu zostaną złagodzone środki zapobiegawcze? A może wraz z nadejściem lata wrócimy już do normalności i świat odrodzi się na nowo? Dziś nie ma nikogo, kto byłby w stanie rzetelnie rozwiązać wątpliwości dziesiątek milionów ludzi na całym świecie. Pozostaje czekać, dbać o siebie i swoich bliskich oraz być gotowym na wyzwania, przed którymi stajemy wspólnie jako świat. Głęboko wierzę, że zdamy ten egzamin z odpowiedzialności.

■ Kamil ŁUKA

## MIT KOBIECOŚCI NIENASYCONEJ

### Irena Tuwim – siostra sławnego brata



Józef Ambrozowicz

Jest dziś prawie zupełnie zapomniana. Jeśli żyje w pamięci czytelników, to głównie jako siostra Juliana Tuwima i tłumaczka *Kubusia Puchatka*. A przecież oprócz doskonałych tłumaczeń zostawiła po sobie cudowne wiersze, o których pisano, że błędnie przy nich talent Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Irena Tuwim przyszła na świat 22 sierpnia 1898 roku w Łodzi. Tak jak jej starszy o 4 lata Julek, była dzieckiem wrażliwym i niepospolitym. Już jako nastolatka czytywała Staffa, Tetmajera, Verlaine’a, Rimbauda i Baudalaira’a. W wielu 17 lat, w łódzkim dzienniku „Godzina Polski”, opublikowała wiersz pt. *Panienska*, który otworzył

jej drogę do wydania w 1921 roku tomiku pt. *24 wiersze* przez prestiżowe wydawnictwo Jakuba Morkowicza. Ten książkowy debiut spowodował przyjęcie jej do grona skamandrytów, z którymi była potem związana przez kilkanaście lat. Krytyka nie szczędziła jej zachwyty. Pisano, że jej wiersze mają własny, subtelny i pastelowy koloryt. Że niektóre z nich można śmiało zaliczyć do najlepszych utworów poezji miłosnej, jakie powstały w naszym kraju, że fundamentalną treścią jej poezji są najgłębiej przeżywane i wciąż odnawiane pasje miłości, przyjaźni i nienawiści.

Równie ciepło został przyjęty jej drugi tomik pt. *Listy (1924–1927)*. Marian Piechal uznał, że zamieszczony w tym zbiorze wiersz pt. *Ręce* to jeden z najpiękniejszych liryków w całej naszej poezji współczesnej. A Anna Kamińska pisała, że „Irena Tuwim ma ogromny talent, któremu patronuje mit kobiecości nienasyconej i gwał-



Irena Tuwim

townej, pełnej lęków metafizycznych i wielkiej samoświadomości. Bo to kobieta, krzycząca z tęsknoty, miłości i lęku, doskonale zdaje sobie sprawę z własnych stanów psychicznych i pielęgnuje swoją wrażliwość tak samo jak twarz i ręce”. Oto ten wiersz: „Nie zostało mi nic po tobie:/ Ani nawet pamiąteczki małej – / Pozostały tylko one obie,/ Ręce moje, które tak kochałeś.[...] I tak będzie aż do końca, aż po koniec./ Gdy mnie wreszcie mściwie dni uśmiercą –/ Ręce moje, tobie miłe dłonie/ Położą mi na sercu”. Wiersz ten po wojnie znalazł się w *Wierszach wybranych* wydanych przez Instytut Wydawniczy PAX w 1958 roku. W tym niedużym tomie znalazł się także drugi zbiór przedwojennych wierszy Ireny Tuwim pt. *Miłość szczęśliwa (1927–1930)* oraz 22 nowe utwory. W 1979 r. wydawnictwo PAX wznowiło tę książkę, znów w niewielkim nakładzie, jakby ze strachu, że wydaje wiersze o miłości, a nie z miłości do socjalizmu. Dla Ireny Tuwim nie miało to już znaczenia. Do poezji już nie wróciła. Zapewne wpływ na to miało jej życie osobiste i związane z tym przeżycia. Może jakiś ślad tej decyzji znajdziemy w jej wierszu pt. *Eliza?*: „[...] Ktoś mi kazał patrzeć nie swoimi oczyma/ Kazał kłamać i boleśnie nie wierzyć/ Dał mi jakieś życie, którego prawie nie ma,/ Jakąś miłość, której nie sposób przeżyć. [...]”.

Z tymi przeżyciami przyszło jej się zmagać przez wiele lat. Najpierw przeżyła nieudane małżeństwo ze Stefanem Napierskim, właściwie Stefanem Markiem Eigerem, bo tak się naprawdę nazywał. Był poetą, choć nie zdobył większego uznania. Nieprzeciętnie inteligentny i czytany, zajmował się krytyką literacką i w tej dziedzinie był autorytetem. Jako doskonały znawca zjawisk literackich przeprowadzał wywiady z największymi osobistościami francuskiego życia kulturalnego. Od razu zauważył też talent Ireny Tuwim. Twierdził, że jej wiersze niczym iskry rozpalają lampy o tajemniczym blasku. Zafascynowany ich lekturą przyjechał specjalnie z Warszawy do Łodzi, aby nieznanej sobie poet-

ce złożyć gratulacje. I tak się zaczął ich związek. Po kilku miesiącach znajomości został jej mężem. Wydawałoby się, że to małżeństwo może być trwałe. Napierski był nie tylko człowiekiem o wysokiej kulturze, jako potomek łódzkich fabrykantów miał także ogromny majątek. Tyle że okazał się być... homoseksualistą i już podróż poślubną rozpoczął od Berlina i wizyt w gejowskich klubach.

Dla otoczonej zbytkiem kobiety (zamieszkała w 12-pokojowej willi) to małżeństwo nie mogło być szczęśliwe. Choć trwało 8 lat, była to raczej przyjaźń, a może duchowe przywiązanie. Kiedy poznała Juliana Stawińskiego, doktora prawa, straciła dla niego głowę. Widząc, jakie uczucie zaiskrzyło między nimi, Napierski zwrócił się do żony: „Idź do niego na rok. Jeśli nie będziesz szczęśliwa, możesz zawsze wrócić”. Nie wróciła i wyszła za Stawińskiego, choć poprzedniego męża na swój sposób kochała i bardzo przeżyła jego śmierć w 1940 roku, kiedy przez Niemców został rozstrzelany w Palmirach.

12 czerwca 1935 roku w Wilnie Irena Tuwim i Julian Stawiński biorą ślub. Będą razem do śmierci Stawińskiego w 1973 roku. Do wierszy już nie wróci, ale będzie tłumaczką i to tłumaczką znakomitą. Z rosyjskiego przełożyła *Annę Kareninę*, z niemieckiego *Koniec i początek* z przedmową Stefana Napierskiego (!). Z Napierskim tłumaczyła też wspólnie dramat w trzech aktach *Henryk IV* Augusta Strindberga. Później kontynuowała prace translatorskie z Julianem Stawińskim. Pisała też wiersze i opowiadania dla dzieci. Tak więc zajęła się tym, co już dawniej przynosiło jej uznanie czytelników. Miała przecież w dorobku tłumaczenia baśni braci Grimm, bajki o Mysze Miki i Królowie Śnieżce i wreszcie kongenialne tłumaczenie *Kubusia Puchatka* i *Chatki Puchatka* A.A. Milne'a. Próby tłumaczenia *Kubusia* przez innych autorów (literalnie trzymających się oryginału) powodowały tzw. pusty śmiech („słynne” zastąpienie nazwy Kubusia Puchatka Fredzią Phi-Phi).

Od wybuchu wojny Irena Tuwim wraz z mężem przebywali na emigracji. Stawiński był pracownikiem Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, najpierw w Paryżu, a potem w Londynie. W 1944 roku wskutek intrygi i bezpodstawnych oskarżeń został zmuszony do rezygnacji z pracy. Zarzucono mu, że nie chce przekazywać informacji z nasłuchów, jeśli podlegają one później manipulacji oraz że przyjął pod swój dach (mieszkanie było służbowe) wybitnego poetę, członka grupy Skamander, Stanisława Balińskiego, przebywającego na emigracji w Londynie i znajdującego się w bardzo trudnych warunkach materialnych. Na czele tzw. czynników londyńskich stał prof. Stanisław Kot. Irena nazwała te działania „bezprzykładnym chamstwem, bezprawiem i samowolą”. Małżonkowie starają się o wize kanadyjskie i wyjeżdżają przez Nowy Jork do Toronto. Za rok karta się odwraca. Julian Stawiński zostaje... attaché prasowym pierwszej powojennej ambasady polskiej w Waszyngtonie.

W 1947 roku wracają do Polski. Irena zajmuję się tłumaczeniami. Pracuje dla wielu wydawnictw: Czytelnika, Książki i Wiedzy, Naszej Księgarni, Iskier, PiW, PAX i MON. Wiele książek tłumaczy wspólnie z mężem.

27 grudnia 1953 roku umiera jej jedyny i ukochany brat. Jest to dla niej wstrząs nie do opisanania. Ma przy sobie męża, ale wraz ze śmiercią brata „umiera i jej życie”. Wszystko zostało odarte z sensu – pisała. Jej rozpacz powiększała jeszcze choroba alkoholowa męża i w końcu jego śmierć. W swoich ostatnich latach nie miała już siły żyć. „Nie wiem, czego bać się więcej: życia na tej ziemi czy leżenia pod śniegiem na cmentarzu”.

Umarła 7 grudnia 1987 roku. Jest pochowana obok męża, Juliana Stawińskiego, na Starych Powązkach w Warszawie.

■ Józef AMBROZOWICZ

Anna Augustyniak, *Irena Tuwim. Nie umarłam z miłości, Biografia*, Wydawnictwo Trzecia Strona, 2016.

## Panorama literacka Podkarpacia

# POZORNE ABDYKACJE

W *tamtu* Janusza Gołdy

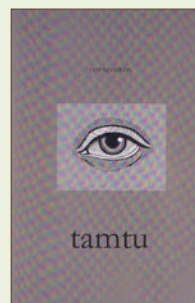


Jan Belcik

Janusz Gołda proponuje nam swój kolejny tomik poetycki *tamtu* wydany w Lesku w 2020 roku. Jest w nim coś ze swoistej, ale jednak pozornej abdykacji. Jest w nim rodzaj zgody na eschatologiczne przeznaczenie; czasem jest nim owo opuszczenie przez ludzi i Boga. Czasem brak jasnego znaku przeznaczenia, a jednak ułaskawianego przez stoicki determinizm. Bo jak powiada liryczny bohater w tytułowym wierszu: „Berehy Górne z widokiem na most/ i skrzyżowanie dróg do Dwernika/ Wetliny Ustrzyk Górnych cmentarz/ Buchwaków za plecami i księżyc/ schodzący z Małej Rawki w dolinę/ w której na niego nikt nie czeka [...]”. A może jednak czeka? Bo czułe oko i ucho poety wychwytyje te niepozorne znaki, gesty, wariacje chwili „[...] ciurkoty szelest tupot/ dziecięcych nóg szuranie butów/ na piasku

czyjeś głosy dalekie/ jak brzęczenie skrzydeł owada/ dęby jesiony lipy i wścibskie/ osy z których żadna nie żądli [...]”. Właściwie nic się nie dzieje, a przecież dzieje się cały świat. Dzieje się przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. I delikatnie żądli – bo nawet tego nie czujemy, że przekraczamy z poetą granicę, w świecie, w którego niemożliwości wszystko jest i staje się możliwe.

Jest to poezja zakotwiczona w Bieszczadach, pograniczach, ostojach, uroczyskach, przełęczach, połoninach – co absolutnie nie oznacza, że nie jest autorowi po drodze z poezją klasyczną, że nie czerpie z literatury antycznej i mitologii, one też wypełniają czasoprzestrzeń „Tam” i „tu”, np. gdy pisze o Niobe; „którą dosięgła mściwa Leto”, po czym dodaje „[...] a zresztą to było tam/ zaś tu pamięta się to/ co dla pamięci wygodne”.



Świat się nie kręci wokół naszych problemów; ale to często problemy świata bywają przyczyną naszych problemów, stają się tym samym uniwersalne. Dlatego poezja Janusza Gołdy jest zapisem problemów uniwersalnych. Bo jak powiada Josif Brodski „człowiek wolny różni się od człowieka zniewolonego tym, że w wypadkach katastrofy, niepowodzenia, klęski – nigdy nie obwinia okoliczności, kogoś innego, układu – on obwinia samego siebie. Człowiek zniewolony zawsze uważa, że ktoś jest temu winien co się stało”. Tak też podmiot liryczny patrzy w wierszu *tutaj*, nie oszukuje siebie

wzniosłością idei humanistycznych, patrzy brutalnie na życie, zdzierając świątobliwą maskę: „[...] a ja zadufany w sobie (zawsze ja/ i ja) ostrzący pazury na życie/ i zapatrzony w grób szukający/ nieustannie rozrywki i uciech/ lecz gloryfikujący ciągłe śmierć/ ile jeszcze wytrwam w naiwnej/ pewności którą karmię siebie/ albo kogoś kogo chcę przekonać/ jakbym bez tego nie mógł istnieć/ że nie jestem tutaj po to by

przeżyć/ od do w jednym celu – prokreacji [...]”. Każdy z nas jest jakoś samotny, i każdy tej odrobiny samotności w swoim czasie potrzebu-

► je. Jednak są samotności inne, samotności – nie tylko – peryferyjnych miasteczek, i takich też uliczek w tych miastach. A oto ich przeciwstawienie w dwóch osobnych wierszach autora *Dziękich sadów*. Pisze on w wierszu *ulice*: „ciemne ulice nie są wcale puste/ chodzi nimi samotność w objęciach/ czulej ciemności i galopują/ po nich samopas tabuny uczuć” i dodaje: „[...] nikt nie wie dlaczego takie ulice/ są w każdym mieście i czemu one/ mają służyć [...]”. W innym wierszu *miasteczko* pisze: „w naszym miasteczku mieszka samotność// pogodna jedyna jawna wśród wielu/ skrytych szczęśliwa że jest kim jest/ twarz przyjazna spojrzenie radosne/ ręce gotowe uściśnąć każdego/ dba o koty karmi psy rozmawia/ o sprawach zwyczajnych pogodzie/ polityce kłopotach sąsiadów/ i ani słowa o samotności [...]”.

Właśnie to jest dychotomia obrazów zawartych w tomiku, ale i w samym tytule, bo zderza się w nim nieustannie jakieś „tam” z jakimś „tu”... Piszę o pozornych abdykacjach w zaprezentowanych wierszach leskiego autora. Pozornych, dlatego że podmiot liryczny z niczego nie abdykuje – nawet wtedy godzi się z uciążliwą koniecznością. Uciążliwą eschatologiczną ostatecznością. Choćby w wierszu *niedorzeczność*, gdy autor za pomocą autoironii próbuje rozmawiać ze śmiercią, droczy się: „[...] jeśli uprze się jak osioł/ poproszę o małą zwłokę/ kilka dni dwa tygodnie/ najwyżej miesiąc/ bo muszę pójść tam/ i ówdzie zobaczyć to/ i owo nadzieić się/ dziwnością rozmówić/ z tym i tamtym załatwić/ sprawy niezałatwione [...]”. No właśnie, czy zdążyliśmy się wystar-

czając nadzieić, żeby móc powiedzieć: jestem oto spełniony, syty, mogę odejść, bo wszystkie sprawy z tym światem mam pozałatwiane? Czy ktokolwiek jest na to w stanie odpowiedzieć z pełną dorzeczością? Nawet często samobójca krzyczy swą śmiercią o sprawach niezałatwionych z tym światem.

Lubię spotykać się z bohaterami lirycznych wierszy Janusza Gołdy. Są mi bliscy, no i jakoś dziwnie znajomi. Dlatego warto sięgnąć po ten tomik zawierający 48 wierszy rozpisanych na 72 stronach. Gwarantuję, że nie będzie to czas stracony.

■ Jan BELCIK

Janusz Gołda, *tamtu*, Sowa, Lesko 2020.

## WIEKOWY ZWIĄZEK Z inicjatywy Stefana Żeromskiego

Ryszard Mścisz



Historia Związku Literatów Polskich jest bardzo burzliwa i ma za sobą wiele zwrotów, będących najczęściej pochodną przemian politycznych. Za jego początki należy uznać założenie 14 maja 1920 roku Związku Zawodowego Literatów Polskich. Dokonało się to z inicjatywy Stefana Żeromskiego podczas Zjazdu Literatów Polskich w Warszawie. Do 1935 roku była to federacja niezależnych stowarzyszeń literackich – od roku 1928 nieformalnie kierowanych przez zarząd związku warszawskiego.

Po okresie okupacji reaktywowany został w roku 1944 na walnym zebraniu w Lublinie, choć praktycznie była to już nowa organizacja. Prezesem tymczasowego zarządu został Julian Przyboś. Obecna nazwę związku przyjęto

w styczniu 1949 roku na IV Zjeździe Literatów Polskich w Szczecinie, kiedy na kilka lat nastał w literaturze polskiej okres socrealizmu. W obrębie ZLP nie brakowało różnych sprzeczności, tendencji rozłamowych – bardzo widoczne były one w latach 60. Na nadzwyczajnym zebraniu oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich w roku 1968 – po wystawieniu *Dziadów* Kazimierza Dejmka – przyjęto napisaną przez Andrzeja Kijowskiego rezolucję pisarzy polskich przeciwko cenzurze, potępiając politykę kulturalną PRL.

Spora część członków Związku Literatów Polskich wyznawała z czasem poglądy opozycyjne, nie brakowało wśród jej członków ideowych różnic i sporów. Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku został on zawieszony, zaś w roku 1983 rozwiązany na mocy międzywojennego prawa o stowarzyszeniach. Pod koniec tego roku jednak, z inicjatywy władz, część członków rozwiązanego Związku Literatów

Polskich zarejestrowała nowy związek pod tą samą nazwą.

Po 1989 roku ZLP działa już na nowych zasadach – jako związek samorządny i samo-finansujący się. Po reaktywacji odbudowano jego strukturę organizacyjną. Obecnie oddziały związkowe działają we wszystkich miastach wojewódzkich. Zrzesza on ponad 1300 członków. Jego prezesami byli kolejno: Halina Auderska, Wojciech Żukrowski i Piotr Kuncewicz. Obecnie funkcję tę pełni Marek Wawrzkiwicz.

Mimo trudnych realiów finansowych i dość skromnych możliwości Związek Literatów Polskich prowadzi bogatą działalność wydawniczą, inicjuje wiele imprez o charakterze literackim, sesji naukowych i rozmaitych przedsięwzięć o wymiarze ogólnopolskim, regionalnym i lokalnym. Dorobek Związku Literatów Polskich tworzą także jego twórcy dzięki swoim indywidualnym dokonaniom.

Spory wkład do tego dorobku wniósł oddział ZLP w Rzeszowie, którego obecnym prezesem jest Małgorzata Żurecka. Rozpoczął on działalność 26 listopada 1967 roku, a jego pierwszym, historycznym prezesem był Jerzy Pleśniarowicz.

■ Ryszard MŚCISZ

Stanisław Dłuski

## KARTKI Z PAWLACZA (79)



Staramy się nie myśleć So śmierci. Lepiej być zawsze po stronie życia i miłości, a jednak to nieuchronne dopada nas codziennie; ja od dziecka musiałem się z tym oswajać i nigdy nie mogę się pogodzić, że moi przyjaciele musieli odejść. Wyroki boskie. W szkole podstawowej pamiętam Miecia, miał 6 lat, kiedy rówieśnicy w głupiej zabawie w lekarza otruli go tabletkami. W szkole średniej powiesił się Góral, tak o nim mówiliśmy, miał zaledwie 18 lat, głupota dwóch pań w internacie, które złapały go z dziewczyną w intymnej sytuacji. Nie chcę mówić, głupia śmierć, ale przecież można było delikatnie, po ludzku z nim rozmawiać, a miał już za sobą próby samobójcze. Z kolei Marek z mojego Dębowca, 18 lat, przedawkował narkotyki, ja byłem w Rzeszowie i nie miałem pojęcia, że coś bierze...? Gdybym wiedział, gdyby coś powiedział, ojciec w ogóle się nim nie interesował, matka biedna, zagubiona...

Sokrates dobrowolnie wybrał śmierć. Mając 16 lat, dokładnie przestudiowałem „Hi-

storię filozofii” Władysława Tatarkiewicza, z moimi rówieśnikami na wsi toczyłem wtedy zażarte spory o filozofię starożytnej Grecji i wtedy wybrałem właśnie Sokratesa z jego słynnym „Scio me nihil scire”, czyli „Wiem, że nic nie wiem”. Żeby dojść do takiej „wiedzy”, trzeba wiele przeżyć, przemyśleć i dlatego dzisiaj z nieufnością podchodzę do różnych nowości, do całej tej osławionej idei postępu, jak mówi bohater i podmiot wiersza Herberta, starożytny rozbójnik, Damastes: „postęp wymaga ofiar”. Cały XX wiek i dzisiejszy czas zarazy pokazują klęskę tych wszystkich „reformatorów”, którzy chcieli stworzyć nam „nowy wspaniały świat”, ktoś na naszym cierpieniu i śmierci buduje swoje fortuny, kariery, miliardy.

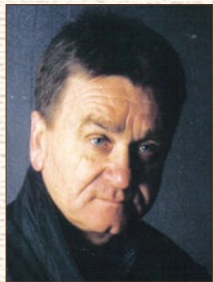
Zadajemy sobie wciąż pytania, na które brak jednoznacznej odpowiedzi, trudno się przyznać do poznawczej i egzystencjalnej bezradności: „Dlaczego Bóg godzi się na cierpienie?”, „Dlaczego śmierć istnieje?”, „Czy Bóg jest dobry, skoro dopuszcza śmierć tragiczną lub przedwczesną?”, „Jak się modlić, gdy umiera ktoś bliski?”, „Jak mówić dzieciom o śmierci?”.

Dzisiaj, w obliczu zarazy, powracają

natrętnie takie pytania. Nie wierzę teologom, wierzę Chrystusowi i Sokratesowi, coś mają ze sobą wspólnego. W obliczu tajemnicy wszystkie odpowiedzi wydają się błahe i niemądre, nie przekonuje mnie do końca poetyka absurdu, to za bardzo wydaje mi się ucieczką przed sensem, choć wciąż życie podsuwa nam tragizm ludzkich zmagania, los nieubłagane mówi: „żyć niemożliwie z głową w dół”. Ale z naszego języka zniknęło pojęcie „tajemnicy”, komputeryzacja naszego świata dała nam złudne poczucie wszechmocy, a dzisiaj stajemy wobec innego świata, bo już będzie inny, nie będzie taniego prometeizmu, bo stajemy w obliczu klęski. Czy koronawirus to zemsta Natury, a może wypadek przy pracy szalonych naukowców? Zobaczyliśmy wszyscy, że jesteśmy słabi i bezradni, możemy się izolować, zamykać, uciekać, ale nie uwolni to nas od cierpienia, fizycznego, duchowego. Które gorsze? Pełni pychy racjonalści bagatelizują wszystko, a jednak cały świat się zatrzymał. Będziemy już żyć w lęku. O każdy dzień, każdy oddech. Strach to nasz nowy „przyjaciel”.

25.04.2020

## Janusz Gołda



Poeta, prozaik, publicysta, autor 12 tomów poezji, a także opowiadań, nowel, artykułów publicystycznych i krytycznych oraz powieści, m.in. *Trzeźnia* (2005). Debiutował w 1970 r. w rzeszowskich „Profalach”, publikował m.in. w „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji – dzisiaj”, „Nowej Okolicy Poetów”.

### niedorzeczność

gdy przyjdzie po mnie  
wcześniej niż myślę  
a ja pewny że jeszcze  
i jeszcze że to przypadek  
splot okoliczności  
lub zwykła pomyłka  
która zdarza się co dzień  
więc po co pytać o coś  
co jest samo w sobie  
niedorzeczne że to  
dziś teraz w tej chwili  
powiem że nie mogę  
może jutro pojutrze  
w środę piątek sobotę  
najlepiej po niedzieli

jeśli uprze się jak osioł  
poproszę o małą zwłokę  
kilka dni dwa tygodnie  
najwyżej miesiąc  
bo muszę pójść tam  
i ówdzie zobaczyć to  
i owo nadziwić się  
dziwnościom rozmówić  
z tym i tamtym załatwić  
sprawy niezłatwione

jeśli posłucha mnie  
i ulegnie obiecuję jej  
a jeśli...  
to się nie cofnę  
i niech robi co chce  
jej wola lecz ja  
na to się nie zgodzę

### oko

szepcze wiatr śpiewa sad  
gwiżdże kos dobry znak  
dla mnie ciebie nas

łypnął błysk huknął grom  
biały dzień jasny cień  
siąpi deszcz skomli pies  
śni się sen gdzie to jest

szczeknął pies krzyknął ktoś  
zadzwończyły szyby w oknie  
cicho tu głośno tam  
tylko oko z wosku  
widzi kto tam idzie

### historia

stare gazety zdjęcia listy  
wiem co ukrywa przyszłość  
kto przeżyje a kto zginie  
co zostanie a co zniknie  
choć miało być na zawsze

jakie będą lata i zimy  
rewolucje kataklizmy  
jak rozpadnie się to  
co uznali za wieczne  
jak fałsz i kłamstwo  
przysłoni im prawdę  
w którą wierzyli do końca  
i w to co miało przyjść  
lecz nie przyszło – historia  
o którą mogę się oprzeć  
szczęśliwy rozumiejący  
ich nieszczęsnych i siebie

### jedenaste

strzeż się nowego Jezusa,  
jego przewrotnych uczniów,  
potulnych faryzeuszów  
i sprzedających proroków  
głoszących dobre newsy

### Ponad

Koniec jest końcem  
– tego jestem pewny  
Kiedy mówię: *koniec*  
widzę jego początek

Koniec jest końcem  
i końca początkiem  
– zaczyna się tam  
gdzie zaraz kończy

Jest wszędzie znają go  
wszyscy lecz nie wie nikt  
skąd przychodzi dokąd  
idzie gdzie mieszka

Nie ma wrogów przyjaciół  
życzliwych w nieszczęściu  
– zjawia się niezwłocznie  
i znika natychmiast

## Jadwiga Kupiszewska



Poetka, malarka, animatorka kultury. Zakochana w Rzeszowie. Opublikowała: *Wieniec dożynkowy* (2008), *Jestem Rzeką* (2009) [współautorka], *Moja Bernardyńska* (2009), *W prześwicie wieżowców* (2010), *Karnawałowy Olimp* (2010), *Makagigi* (2011), *Zostawić dzień* (2012), *Nie rozbieraj tęczy* (2013), *Co mówią ulice Rzeszowa* (2014), *...i nagle znikasz w ciemnych obłokach* (2015), *Korowód pór roku* (2016)

### Przesłanie

Uberam się  
w słowa  
Kantorowego Spektaklu  
wchłaniam wyobraźnię  
tamtego czasu  
Maszerują cienie  
układają szarą  
beładną  
mozaikę  
...nadzieję  
Wśluchuję się  
w ciszę  
Skrzypnęły schody  
na scenę wpełzły  
umęczone krzyże  
rozmyły czernie  
Ktoś za florena  
sprzedał  
Księgę Losów  
...wspomnienia  
Zadaję pytania  
oglądam rekwizyty  
szczętki istnienia  
niewidzialnej  
drogi  
...do zmartwychwstania

Wielopole Skrzyńskie, 2013 r.

### Pamięć

W małych światach  
podwórka  
zamknięta  
melodia skrzypiec  
Na nutach bieli  
rodzinnego domu  
maluje zapach  
paletą Kantora  
W szatach srebrzystych  
na skrzydłach  
wiatru  
wyrusza w wieczność  
oprawioną w ramy  
i zapisaną  
kurtyną  
teatru

Wielopole Skrzyńskie 2013 r.  
Muzeum Kantora

\*\*\*

Testują  
nadzieję  
Napisałi  
scenariusz  
o wojnie...  
NIE  
– jak się robi  
wojnę

Rekwizyt  
wykrzywił  
plan bitwy  
na ścianie  
– żeby znowu...  
o  
wojnie

### Mgła

Przestrzeń zamknięta  
na widnokręgu  
beźmiar szarości  
mgła  
kontury drzew  
a może chmury  
niebo i ziemię  
spowiła  
mgła  
Za szybą krople  
spływają jak lzy  
deszcz to  
– nie  
mgła  
Podążam w otchłań  
pytam o drogę  
nie widać twarzy  
zakryła  
mgła  
I tylko przestrzeń  
bezkresna w oddali  
beźmiar nicości  
na widnokręgu  
mgła



## Mieczysław A. Łyp

Poeta, krytyk literacki, edytor, fotografik, aktywny promotor kultury i sztuki Podkarpacia, b. prezes rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Autor kilkunastu książek poetyckich. Laureat Złotego Pióra (1992, 2010) i wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich.

### Kolory diamentu

Z inspiracji obrazem Józefa Mehoffera  
*Dziwny ogród* (1902–1903)

Zieleni tego obrazu  
nie wolno uronić  
– taka odniebna  
i taka pełna  
– jakby dojrzewała  
w szczerozłotym południu  
rajskiego ogrodu

To w tym obrazie  
ważka jest lotniejsza od tchnienia  
od wielokrotnych mgnień ukrytej tajemnicy  
od wielokrotnych mgnień życia

Jej lot  
błękitnymi literami  
opiszą poeci

Nie wolno też  
nic uronić  
z odcieni pruskiego błękitu  
mieniących się na sukni  
damy  
wspartej o gałęzie  
rozłożystej jabłoni

W tym kolorze  
tkwi  
i zmierzch i wczesny świt  
światłość nocy  
ciepło świata  
bliskość

Nie wolno też pominąć  
światlistych kolorów kwiatów  
i płonącego słonecznym światłem  
chłopca  
z rozkwitłymi rozpękłymi  
od ciepłych nocy malwami

Ten przepych letniego dnia  
zaklęty w tym ogrodzie  
łśni  
jak biały diament lata

Rzeszów, 06.04.2020 r.

## Studium w bieli rózu i złocie

Z inspiracji obrazem Józefa Mehoffera  
*Taniec – Naiwne* (1898)

W posmudze lata  
w posmudze lipca lub sierpnia  
w złocistych kapeluszach  
tańczą lekkie jasne tancerki  
w sukniach o sutych spódnicach  
pełnych fałd falban wstążek

Giętkie wiotkie pełne gracji  
jak łabędzie Czajkowskiego  
tańczą lato biel róż  
światło słońce  
zieleń łąki

Kwitną jak młode sady jabłoni  
w secesyjnych ornamentach  
w wizji Józefa Mehoffera  
i poety Paula Verlaine'a  
naiwne w zastygłym ruchu

Tak obdarowują nas  
swoim pięknem  
i tak trwają  
w światłozieleni dziwnych ogrodów

Kwitną beztruską motyli  
radością dnia  
który nie przeminie

Rzeszów, 02.04.2020 r.



## Ewelina Agnieszka Łopuszańska

Poetka, animatorka kultury, laureatka licznych konkursów poetyckich. Wydała cztery tomiki poetyckie: *Ewoliny* (2013), *Dotyk Kamienia* (2015), *Pocztówki* (2016), *Dym z komina* (2018). Członkini wielu stowarzyszeń twórczych, należy do RSTK, Miejskiej Grupy Literackiej „Słowo” i Klubu Poetów Podkarpacia „Perły”.

### Dla Mamy

jak z tym sercem rozmawiać  
wystrzegając się trzepotań  
stabiutki jest  
pomarszczone  
wątła dłoń otula je swetrem  
przysypiając w fotelu

o czym rozmawiać z tym sercem  
cała moja przeszłość  
gnieździ się w jego wnętrzu  
i rozrasta się krzewem róży  
który ciepła słonecznego pragnąc  
ku przyszłości wije gałązki i pąki

troska zapina sprzączki, guziki  
sprawdza okna i smak obiadu

zaduma roztrząsa wartość słów  
twardość charakteru sterującego  
na wodach życia

ciernie złości światła pożądają  
lecz żyć nim nie mogą  
prędko ulegnie się  
czułość delikatnie odłamując igły  
niepotrzebne

samotność pajęczynami kąty  
strachu i rozpaczy maskuje  
osłania się parasolem melancholii

na miedzy  
zawija się, wyrasta  
radość zakwita płatkami rózu i czerwieni

odwiedzam twoje serce, mamu, aby podlać  
nasz ogród...



Andrzej Szypuła w swojej Wiśniowej na wiosnę

### Noc majowa

Ty przychodzisz jak noc majowa,  
biała noc uśpiona w jaśminie,  
i jaśminem pachną twoje słowa  
i księżycem sen srebrny płynie.

Płyniesz cicha przez nocę bezsenne,  
cichą nocą tak liście szeleszczą,  
szepczesz sny, szepczesz słowa tajemne,  
w słowach cichych skąpana jak w deszczu.

Jeszcze widzę twój uśmiech w oddali,  
moich tęsknot życzenia daremne,  
w zapomnianych kwiatach melancholii  
srebrny sen pozostanie już we mnie.

I zwrotka – Bolesław Leśmian, II zwrotka –  
Władysław Broniewski, III zwrotka – Andrzej Szypuła

Wiśniowa, maj 2016

# MIŁOŚĆ DO SZTUK PIĘKNYCH

## Rozmowa ze znakomitym pianistą Emilianem Madeym



Zofia Stopińska

Solistą marcowego koncertu w Filharmonii Podkarpackiej był znakomity pianista Emilian Madey. Program tego wieczoru zawierał dzieła orkiestrowe Wolfganga Amadeusza Mozarta i Ludwiga van Beethovena. Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Podkarpackiej dyrygował Dawid Runtz, wyróżniający się dyrygent młodego pokolenia, znany dobrze podkarpackim melomanom z bardzo ciekawych kreacji. W pierwszej części wysłuchaliśmy też *Koncertu fortepianowego C-dur op. 14* Franciszka Lessela, polskiego kompozytora i pianisty, który miał szczęście studiować u Józefa Haydna i pod jego kierunkiem rozwijał zdolności kompozytorskie oraz pianistyczne. W trakcie pobytu w Wiedniu kilka razy przyjeżdżał do letniej rezydencji Lubomirskich w Łańcucie w charakterze nadwornego muzyka. Klasyczny w budowie, pogodny w nastroju utwór Lessela daje pole do popisu przede wszystkim soliście. W wykonaniu Emiliana Madeya i Orkiestry Symfonicznej Filharmonii dzieło zabrzmiało wyjątkowo pięknie.

❑ **Talent muzyczny odziedziczył Pan po rodzicach, którzy byli znakomitymi muzykami, bo mama – Anna Malewicz-Madey była znakomitą śpiewaczką, obdarzoną przepięknym mezzosopranem, a Pan poszedł w ślady ojca i jest dyrygentem, pianistą, kompozytorem oraz pedagogiem. Studiował Pan te kierunki równocześnie albo prawie równocześnie.**

– Fortepian to nauka czytania; jest w nutach jakaś powieść, jakaś historia zapisana i ja ją muszę umieć przeczytać, natomiast kompozycja to biała kartka, którą ja muszę umieć zapisać, razem jest to nauka pisania i czytania. Rzeczywiście, udało mi się dostać na te dwa kierunki i studiowałem je jednocześnie. Kiedy zbliżał się dyplom z kompozycji i dosłownie chwilę po obronieniu pracy magisterskiej z fortepianu, odbywały się egzaminy wstępne na studia dyrygenckie. Przystąpiłem do nich, zdałem na dyrygenturę symfoniczno-operową i zostałem przyjęty od razu na drugi rok. W ciągu trzech lat ukończyłem dyrygenturę. To było ukoronowanie ewolucji muzycznej.

❑ **Jest Pan także kompozytorem. Jak powstają Pana utwory, skąd Pan czerpie inspiracje?**

– Rzadko komponuję. Żeby zacząć komponować, muszę mieć taki pomysł, który mi żyć nie daje. Nie trzeba na siłę zapełniać szuflad nutami. Jest tyle pięknej literatury skomponowanej, która nie jest grana – chociażby Lessel.

Ostatni utwór, który skomponowałem po 10 latach przerwy, to jest potężny utwór na duży skład quasi-symfoniczny. Skomponowałem go z myślą o doktoracie, ale nie miałem na razie czasu na ten doktorat, bo za dużo jest pomysłów rozpoczętych, za dużo w realizacji i ten utworek czeka sobie.

❑ **Uprawiał Pan dużo muzyki kameralnej, czy ten nurt nadal jest równie ważny w Pana działalności artystycznej?**

– Cały czas uprawiam muzykę kameralną, z tym że uciekam od współpracy ze skrzypkami, wiolonczelistami i instrumentami dętymi, a skłaniam się w kierunku pracy ze śpiewakami. Najbardziej mnie to fascynuje, najbardziej cenię ten rodzaj współpracy, ponieważ tu potrafię się muzycznie, artystycznie najlepiej wypowiedzieć. Jest mi to najbliższe.



Emilian Madey

❑ **Mając tyle doświadczeń, może się Pan dzielić tym wszystkim ze studentami i uczniami.**

– Tak, bo uczę w szkole średniej i w Akademii Muzycznej, która obecnie działa pod nazwą Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina w Warszawie. Bardzo chciałbym przekazywać tę wiedzę wszystkim podopiecznym, ale nie zawsze się to udaje. Kiedy rozpoczynałem pracę pedagogiczną, byłem przekonany, że wszyscy będą zdolni i pracowici. Czasami właśnie całą sztuką jest dotrzeć do osoby, która może ma talenty bardzo ukryte i trzeba je wyciągnąć na wierzch. To wszystko jest bardzo złożone i wymaga dużej odpowiedzialności. Uczę już prawie 20 lat i myślę, że udaje mi się tę odpowiedzialność zachować. Nie możemy oczekiwać, że z każdego zrobimy artystę muzyka. Zresztą, gdzie oni wszyscy mieliby się podziewać? W edukacji ważne jest raczej to, żeby nie zniechęcić do sztuk pięknych i w ten sposób kreować i kierować edukacją młodego człowieka, by nawet, jeżeli nie zostanie muzykiem, jeżeli wybierze zupełnie inną profesję, zachował miłość do sztuk pięknych. Bo wszystko, co po nas zostaje, co zostaje po każdej cywilizacji, która upada, to jest kultura. Jeżeli nie będziemy dbali o kulturę, nie będziemy jej doceniać, pielęgnować i współtworzyć, to zginiemy całkowicie.

❑ **Jak Pan się czuje, występując w roli soliisty, kiedy orkiestrą dyryguje ktoś inny?**

– Zazwyczaj się cieszę, że mam jeden problem z głowy, ponieważ bywało tak, że dyrygowałem i grałem jednocześnie. Dobrze

wiem, jak ogromna jest to odpowiedzialność, a tutaj rozkłada się ona na nas dwóch. Dawid Runtz jest mi dobrze znany od lat, bo nawet prowadziłem podczas jego studiów w UMFC instrumentoznawstwo, na które Dawid musiał przychodzić, i z tamtych czasów się znamy. Teraz bardzo mocno trzymam kciuki za całą jego przyszłość. Mam wrażenie, że znalazł się w kręgu ludzi, którzy są mu w stanie pomóc i będą to robić.

❑ **Współpraca z Filharmonią Podkarpacką pod jego batutą przebiega harmonijnie?**

– Jak najbardziej, zawsze był miły, serdeczny, otwarty. Bardzo dobrze przygotował orkiestrę, podoba mi się, jak z nią pracuje. Wszystko tutaj ma swój czas. Uważam, że Orkiestra Filharmonii Podkarpackiej została bardzo dobrze przygotowana do koncertu. Artysta muzyk jednak nie ma żadnej pewności, co wydarzy się podczas koncertu. Jesteśmy żywymi ludźmi i wykonujemy muzykę na żywo. Podczas prób ustawiamy pewne szablony naszych relacji i słuchamy się wzajemnie, ale potem jest żywe wykonanie przed publicznością, podczas którego zawsze pojawi się coś, czego nie było na próbie.

❑ **Bardzo dobrze, że nam to Pan uświadomił. Mam nadzieję, że niedługo powróci Pan do Rzeszowa.**

– Właściwie to ja właśnie wróciłem, bo wystąpiłem tutaj po raz drugi. Pierwszego mojego pobytu już nikt nie pamięta, bo grałem, mając dwanaście lat, koncert Bacha (nie pamiętam nawet który), ale wiem, że był to 1987 rok. Pamiętam, że to była super frajda zagrać z orkiestrą, tata dyrygował, mama śpiewała, bo to był taki rodzinny koncert. Pamiętam, że woda w Rzeszowie była wtedy okropna i do każdej szklanki herbaty trzeba było wrzucić listek geranium, żeby inaczej pachniała. Pamiętam także wystawę Pewexu w hotelu – i to wszystko. Rzeczywistość PRL-u widziana oczami dziecka. Teraz przyjechałem jak do innego państwa, na inną planetę. Wszystko jest wyremontowane, w filharmonii świetna akustyka w sali koncertowej i w kameralnej. Jest po prostu pięknie! Do takich miejsc chętnie się wraca.

■ Zofia STOPIŃSKA

# SERNIK Z PENDERECKIM

## W Luślawicach o muzyce i drzewach



**Andrzej Piątek**

Od mojego pierwszego spotkania z Krzysztofem Pendereckim minęło 30 lat. Po próbie z orkiestrą w Filharmonii Podkarpackiej poprosiłem mistrza o wywiad dla „Nowin”.

– Panie profesorze... – zwróciłem się. – Przerwał z łagodnym uśmiechem: – Proszę tak do mnie nie mówić. Wystarczy, panie Krzysztofie...

Spotykaliśmy się potem czterokrotnie w filharmonii w Rzeszowie i na zamku w Łańcucie, między innymi na Festiwalach Muzycznych. Także w Luślawicach. Tam, kiedy rozmawialiśmy ponad dwie godziny, poczęstował mnie domowym sernikiem. – Sam upiekłem! – pochwalił się tonem, jakim mawiał o skomponowanym utworze lub drzewach w parku w Luślawicach, które sadził sam, kierując się motywami służącymi w jego wyobraźni pisaniu muzyki. Z tego spotkania powstał reportaż *Z Pendereckim w Luślawicach*, do przeczytania w starych „Nowinach”.

Takim był „mój Penderecki”: skromnym, ciepłym i bezpośrednim człowiekiem. Równoległe jedną z największych postaci w dziejach

kultury polskiej i światowej. O czym przekonałem się w Meksyku, gdzie byłem z Józefem Szajną i jego rzeszowskim, ostatnim spektaklem *Deballage* z Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Nie licząc ludzi ze świecznika, którzy wiedzieli o polskiej kulturze niemało, podczas spotkań ulicznych zwykli ludzie kojarzyli naszą grupę Polaków z Janem Pawłem II i właśnie Krzysztofem Pendereckim.

Penderecki często podkreślał swoje pochodzenie ze stosunkowo niewielkiej podrzeszowskiej Dębicy. Nawet wówczas, kiedy światowe uznanie przynosiły mu *Tren Ofiarom Hiroszimy*, *Pasja św. Łukasza*, *Polskie Requiem*, *III Symfonia*, *Siedem bram Jerozolimy* i *Diabły z Loudun*. Szczególny rozgłos utwory z wykorzystaniem oryginalnych technik noszących miano sonoryzmu, polegających na stukaniu w denka instrumentów smyczkowych. Także prestiżowe nagrody – m.in. dwukrotnie Prix Italia, czterokrotnie Grammy,



Krzysztof Penderecki z red. Andrzejem Piątkiem w gabinecie ordynata na zamku w Łańcucie. Rozmowa po konferencji i koncercie, które promowały płytę „Penderecki. Violin & Piano Works”, z udziałem skrzypaczki Patrycji Piekutowskiej i pianistki Beaty Bilińskiej, rok 2006.

Fot. Krystyna Baranowska

Złoty Fryderyk i najwyższe polskie odznaczenie – Order Orła Białego.

Był kuzynem Tadeusza Kantora, pochodzącego z Wielopola Skrzyńskiego, wybitnego malarza i twórcy teatru, również o sławie światowej. Z pierwszą żoną, Barbarą, miał córkę Beatę, dziennikarkę radiową. Z drugą, Elżbietą, syna Łukasza, psychiatrę, i córkę Dominikę, romanistkę. Zmarł 29 marca w Krakowie. Spocznie tam w bazylice Piotra i Pawła, obok Skargi i Mrożka.

■ Andrzej PIĄTEK

# Z PANIĄ MUZYKĄ WE DWOJE

## Reminiscencje z komnat zamkowych



**Andrzej Szypuła**

Już wiadomo, że kolejny 59. Muzyczny Festiwal w Łańcucie nie odbędzie się w zaplanowanym terminie. Podobna sytuacja miała miejsce w 1963 roku, kiedy to odwołano festiwal w Łańcucie, wówczas jeszcze pod nazwą Dni Muzyki Kameralnej, z powodu groźnej epidemii.

Tak czy inaczej, to już prawie 60 lat tej niezwyklej imprezy, przyciągającej swą tajemną magią zarówno znakomitych artystów, jak i melomanów.

Pamiętam znakomitą śpiewaczkę Teresę Żylius-Garę w powozie przed zamkiem w Łańcucie, jak rozdawała uśmiechy rozentuzjzmowanej festiwalowej publiczności, oczywiście przy dźwiękach plenerowych walców i polek Rzeszowskiego Zespołu Instrumentów Dętych Da Camera, który wówczas prowadziłem. Ech, Iza się w oku kręci...

A początki Festiwalu sięgają 2 czerwca 1961 roku, kiedy to odbył się pierwszy koncert Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie, dających początek tak wspaniale rozwijającemu się Muzycznemu Festi-

walowi. Funkcjonująca wtedy od sześciu lat Państwowa Orkiestra Symfoniczna z siedzibą w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie przy ul. Okrzei 7 budowała dopiero swój artystyczny wizerunek – dzięki zapaleńcom i oddanemu muzyce bez reszty dyrygentowi i dyrektorowi Januszowi Ambrosowi, który był uczniem Artura Maławskiego i z Rzeszowem związał się na 17 lat. Oto fragment jego wypowiedzi w programie I Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie z 1961 roku: „Istnieje w Polsce kilka stałych festiwali muzycznych (Konkurs Chopinowski, Konkurs Wieniawskiego, Jesień Warszawska) – oraz cały szereg jednorazowych festiwali. Charakterystyczne zjawisko – brak festiwali muzyki kameralnej, która – przynajmniej szczerze – jest olbrzymią pozycją w dorobku muzycznym literatury światowej. Dni Muzyki Kameralnej jako pierwsza tego rodzaju próba nie są zakrojone na szeroką skalę. Robimy krok w celu uruchomienia aparatu, który może w przyszłych latach będzie w stanie organizować stałe festiwale, właśnie w tym

miejscu najbardziej sprzyjającym wykonywaniu tego rodzaju muzyki. Mamy zamiar urządzić w czasie trwania przyszłych festiwali odczyty



Janusz Ambros

Fot. archiwum FP

na tematy związane z kameralistyką, seminaria muzyki kameralnej dla studentów wyższych szkół muzycznych, które miałyby charakter zgrupowań młodych kameralistów, konkurs na najlepsze zespoły kameralne, stały konkurs kompozytorski na kompozycje kameralne”.

Maria Cecylia Guziołek w recenzji z pierwszego koncertu Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie w „Nowinach Rzeszowskich” z 7 czerwca 1961 roku pisze: „[...] od madrygałów – pieśni pasterskich – Mikołaja z Krakowa po m.in. utwory tzw. klasyków wiedeńskich: Mozarta, Beethovena, po wspaniałe kompozycje Rimskiego-Korsakowa, Rachmaninowa i Lutosławskiego. Program szeroki i ogromnie interesujący. Interesujący tym bardziej, że mistrzowsko wykonany”.

Jak pisze Anna Wiślińska z Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Maławskiego w Rzeszowie (*Rys historyczny Muzycznego Festiwalu w Łańcucie – refleksje w 50. rocznicę istnienia*, „Kamerton” 55/2011, s. 83): „Podczas pamiętnych Dni Muzyki Kameralnej zainaugurowanych 2 czerwca 1961 r. wystąpiły czołowe polskie zespoły kameralne: Kwartet Krakowski Państwowej Filharmonii Krakowskiej, Kwartet Łódzki, Trio Stroikowe Filharmonii Narodowej, Kwintet Filharmonii Krakowskiej, znakomity Chór Kameralny Filharmonii Krakowskiej pod kierownictwem Józefa Boka oraz sopranistka Jadwiga Romańska. [...] Już od pierwszej edycji Dni Muzyki Kameralnej do programu imprezy wprowadzono dzieła operowe, zarówno w wersji scenicznej, jak i estradowej. Podczas inauguracji festiwalu w 1961 r. gospodarze – Orkiestra i Chór Filharmonii Rzeszowskiej pod dyrekcją Janusza Ambrosa wykonali w wersji estradowej *Orfeo ed Euridice* Ch. W. Glucka z Krystyną Szostek-Rad-

KULTURA • SZTUKA



kową w roli głównej”.

W rzeszowskim „Widnokregu” nr 1 z 1967 roku, s. 2, u progu nowego roku (*Nowy rok wielkiego muzykowania*) Cecylia Błońska rozmawia z Januszem Ambrosiem o jedenastu latach jego pracy w Rzeszowie. Sporo o koncertach, budowie nowego gmachu filharmonii, a także o zamiarach organizacji Opery Kameralnej. Janusz Ambros tak o tym mówi: „Od stycznia br. zespół b. sceny kameralnej Filharmonii Narodowej pod kierownictwem Stefana Sutkowskiego przechodzi do nas z tym, że stałą jego siedzibą będzie Łańcut. Opery kameralne wystawiane będą w Łańcut, któremu jednakże przypadnie prawo premier. Po premierowych spektaklach projektowane są objazdy nie tylko w terenie naszego województwa, ale i po całej Polsce”. Ciekawe i ambitne to były plany i zamiary!

I jeszcze fragment z książeczki programowej *Łańcut '79* z XIX Dni Muzyki Kameralnej, które miały miejsce w sali balowej łańcuckiego zamku, ale także w Leżajsku, Mielcu i Rzeszowie w dniach 12–18 maja 1979 roku. Autorem tekstu jest nieżyjący znany rzeszowski animator kultury i publicysta Jan Grygiel: „Chodzi o systematyczne prezentowanie publiczności najwybitniejszych dzieł muzyki kameralnej polskiej i europejskiej z różnych epok, konwencji, w interpretacji najwybitniejszych wykonawców. Jeśli jednak co roku większą część programu stanowią utwory muzyki klasycznej, dzieje się tak z uzasadnionych przyczyn. Kameralistyka renesansu, baroku, a także znacznie późniejsza, była



Artur Malawski w gronie swych uczniów w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Siedzą od lewej: J. Semkow, A. Malawski, S. Marczyk, J. Katlewicz, stoją od lewej: J. Ambros, S. Has, J. Łuciuk, W. Pawłowski, T. Ciejka

tworzona dla wnętrz pałacowych, miała często charakter dworski i w tych wnętrzach ją wykonywano. Dzisiejsze więc koncerty w komnatach zamku łańcuckiego mają pierwotne brzmienie, są najwierniejszym odtworzeniem wszystkich walorów tej muzyki”.

W 100. rocznicę urodzin Janusza Ambrosa, jakże zasłużonego dla kultury muzycznej, przypominam jego krótki biogram zamieszczony w Encyklopedii Muzycznej PWM. „AMBROS Janusz – ur. 1 VIII 1920 r. w Krakowie, zmarł 18 II 2011 r. w Madrycie, pochowany w Krakowie 24 V 2011 r. Dyrygent, kompozytor, pedagog, animator kultury. Studia muzyczne ukończył w PWSM w Krakowie u A. Malawskiego. 1953–1956 wraz z S. Drabikiem prowadził operę robotniczą w Krakowskim Domu Kultury.

1955–1972 kierownik artystyczny i dyrygent Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie, 1961–1972 inicjator i kierownik Dni Muzyki Kameralnej w Łańcut, obecnie Muzyczny Festiwal w Łańcut. Od 1972 chórmistrz i dyrygent Opery Wrocławskiej. Od 1974 wykładowca w PWSM w Krakowie i Wrocławiu. Autor kompozycji orkiestrowych, pieśni, 7 pieśni wydało PWM w Krakowie.” (Jerzy Habela, AMBROS Janusz, hasło w: *Encyklopedia Muzyczna PWM*, Kraków 1979, s. 42).

W okrochu pamięci cytuję fragment artykułu Piotra Gajewskiego *Z historii Rzeszowskiej Filharmonii – V* („Kamerton” 3–4 (32–33) 1998, s. 63): „Janusz Ambros wystąpił tym razem [październik 1959] nie tylko jako dyrygent, ale również jako kompozytor. Orkiestra wykonała

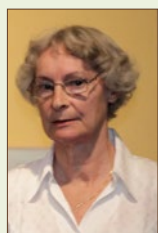
jego *Małą suitę* składającą się z czterech części: *Groteskowy marsz*, *Bajka*, *Smutny walc*, *Scherzo* oraz *Moto perpetuo*. *Małą suitę* można było usłyszeć do tej pory w nagraniu Orkiestry Polskiego Radia w Krakowie. W Rzeszowie została publicznie wykonana po raz pierwszy w Polsce”.

Na koniec cytuję fragment wiersza K.I. Gałczyńskiego pt. *Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha*, życząc Miłym Czytelnikom i sobie otuchy, pogody ducha i dobrych nadziei. „Cóż to zaś rozkosz błędzić przez pokoje/ z Panią Muzyką we dwoje! [...] A dzisiaj jest Wielkanoc. Dzwon rozmawia z dzwonem./ O, wesołe jest serce moje!”

■ Andrzej SZYPUŁA

## KULTURA PRZEZ INTERNET

### Poetów nie można powstrzymać



#### Jadwiga Kupiszewska

Życie jakby zamarło. Puste Z ulice, zamknięte domy kultury, liczne usługi, praca. Wojskowy Klub 21. Brygady Strzelców Podhalańskich w Rzeszowie, tak jak i inne domy kultury, zawiesił czynną działalność. A przecież starannie wyremontowany, po rocznej przerwie, w ubiegłym roku wznowił działalność. Sekcja Wokalna pod skrzydłami Ewy Jaworskiej-Pawełek przygotowywała młodzież do udziału w konkursach. Po raz pierwszy od lat nie odbyła się, przygotowana już do prezentacji, uroczystość katyńska. Dobrze zaopatrzona biblioteka klubowa zamknęła swoje podwoje. Klubem Literackim, przez lata prowadzonym przez Stacha Ożoga, obecnie opiekuje się Zofia Rogosz, która równocześnie jest pracownikiem biblioteki klubowej.

Niestety, czas koronawirusa uniemożliwił czynne spotkanie się w ramach działalności Klubu Literackiego, w którym gromadzą się poeci, literaci oraz sympatycy dobrego pisania na literackich rozmowach, dyskusjach, imprezach słowno-muzycznych. Program działalno-

ści klubu jest bardzo zróżnicowany, pełen ciekawych form i tematyki nie tylko wojskowej, a członkowie wywodzą się nie tylko z kręgów wojskowych. Drzwi otwarte są dla twórców, poetów, literatów, a nawet artystów malarzy, muzyków itp. Prowadząca klub Zofia Rogosz pragnie, aby spotkania były nie tylko formą warsztatów, ale swego rodzaju prowokacją do pisania, do nabywania odwagi prezentowania swojej twórczości, osobistego deklamowania na wieczorach literackich. Przy pełnej współpracy Sekcji Wokalnej odbywa się wiele wartościowych rocznicowych imprez i poetyckich spotkań twórców, wzbogacanych muzyką i prozą. Nawiązana współpraca z Klubem Seniora działającym przy Osiedlowym Domu Kultury Tysiąclecia Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i odbywające się spotkania pod patronatem obu klubów stały się początkiem integracji środowisk rodzin wojskowych, seniorów, tych, co kochają literaturę.

Czujemy ogromną radość, że udało nam się jeszcze tuż przed czasem pandemii spotkać zarówno w Klubie Wojskowym 21 BSP, jak i w Domu Kultury Tysiąclecia na spotkaniu pt. „Wyczytamy miłość” z poezją Teresy Glazar, Zdzisława Stokłosa, Jadwigi Kupiszewskiej oraz

piosenkami o miłości w wykonaniu świetnie przygotowanych piosenek Ewy Jaworskiej-Pawełek.

W nawiązaniu do działalności Klubu Literackiego, która daje jego członkom możliwość samorealizacji, był udział w ubiegłym roku w Manewrach Artystycznych Wojska Polskiego organizowanych przez Departament Edukacji, Kultury i Dziedzictwa we Wrocławiu. Z Klubu Literackiego 21 BSP zakwalifikowały się trzy osoby: Jerzy Stefan Nawrocki i Jadwiga Kupiszewska w kategorii prozy oraz Barbara Śnieżek w kategorii poezji, a w 2018 r. Jadwiga Kupiszewska zdobyła prozatorskie wyróżnienie.

Pandemia koronawirusa zatrzymała ludzi w domu, lecz poetów nie można powstrzymać. Kontaktujemy się przez Internet, telefonicznie, piszemy, piszemy, dzwoniemy, piszemy, opracowujemy programy, scenariusze. Barbara Śnieżek pracuje nad kolejną antologią związaną ze zbliżającą się 40. rocznicą działalności Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie. Wszyscy myślimy z nadzieją, że to, czego nie udało się zrealizować w wiosnę, odbudujemy w jesieni. Znowu pójdziemy po dobrą książkę do biblioteki 21 BSP, po uśmiech, dobre, życzliwe słowo jej pracownic. Uruchomimy to, co w zaciszu domowym próbowaliśmy stworzyć z myślą o przyszłości.

■ Jadwiga KUPISZEWSKA

[...] gdy przepisujemy i cytujemy, budujemy gmach wiedzy i rozmnażamy ją jak moje warzywa czy jabłunki. Przepisywanie jest jak szczepienie drzewa; cytowanie – jak wysiewanie nasion.

Ksiądz Chmielowski

# PRZENIESIONY W CZASIE

## Rozmowa z artystą Leszkiem Kuchniakiem



**Sylwia Chodorowska-Kozień**

**K**sięgi Jakubowe Olgi Tokarczuk mają w sobie ogromną magię i zabierają czytelnika do odległej krainy w „wielką podróż, przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc tych małych”.

Podziwiam Twoje obrazy, Leszku, i śmiem twierdzić, że Olga Tokarczuk „uwiodła i rozkochała” Cię w *Księgach Jakubowych*.

Z *Księgami Jakubowymi* zetknąłem się kilka lat temu, kupując pierwsze ich wydanie (długo zresztą wyczekiwane) w Empiku. Od razu wiedziałem, że jest to powieść dla mnie. Ogrom mądrości spisanych z literackim rozmachem spowodował, że uczucia do Olgi Tokarczuk okazały się właściwie ulokowane. *Księgi* stały się inspiracją do wielu nowych obrazów, poprzez plastyczne opisy egzystencji Żydów

w XVIII wieku oraz ciekawego, nieznanego mi dotąd wątku życia Jakuba Franka, żydowskiego mesjasza, który przemierzał Europę i religie w poszukiwaniu wiary idealnej.

Tematyka judaistyczna jest obecna w Twojej twórczości prawie od zawsze.

Przygody Franka są dla mnie opowieściami porównywalnymi z *Baśniami tysiąca i jednej nocy* i przygodami Szeherazydy, czyli baśnią o człowieku i narodzie szukającym swojego miejsca na ziemi. W powieści Tokarczuk, obok rozważań religijno-filozoficznych, wątków historycznych – znalazłem wierne i niezwykle barwne opisy życia codziennego Żydów.

I ta sfera powieści oddziałuje na mnie najbardziej: uchwycone barwy, zapachy, smaki, obyczaje, stroje, wygląd domostw czy klimat żydowskich sklepików i uliczek. Ten klimat od zawsze mnie fascynował, a pogłębiony lekturą noblistki zrodził „nową edycję” dzieł o tematyce judaistycznej. Do *Ksiąg* wracam stale, czytam je urywkami i tak też je maluję. Choć nie ukrywam, że jakimś szczęśliwym trafem moje



Anuska i Leszek Kuchniakowie

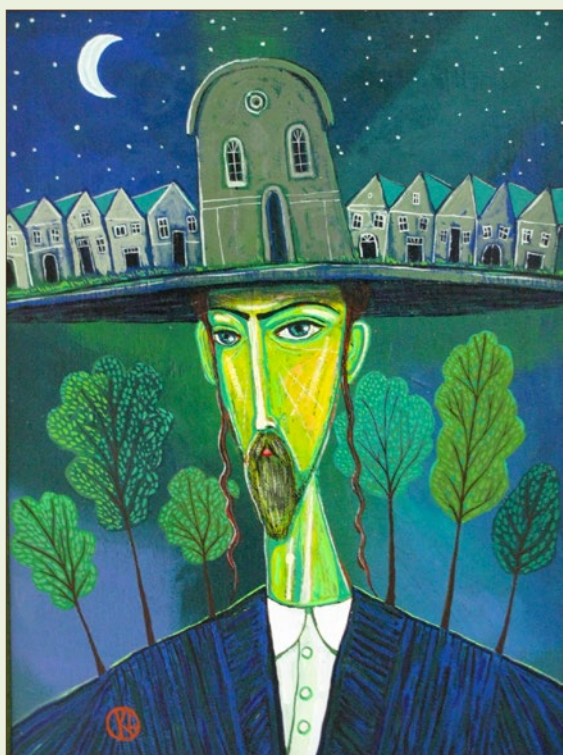
wcześniejsze „obrazy żydowskie” wpisują się w klimat powieści Olgi Tokarczuk.

Zatem posmakujmy artyzmu słowa i obrazu plastycznego w zestawieniu poniższych cytatów z *Ksiąg Jakubowych* Olgi Tokarczuk z pracami malarskimi Leszka Kuchniaka.

Sylwia CHODOROWSKA-KOZIEN

### KSIĘGA MGŁY

„Myśli, że wszystko, co teraz dostrzega [...] pochodzi z jego głowy – ta myśl budzi w nim dreszcz podniecenia. A co jeżeli to wszystko sobie wyobrażamy? A co jeżeli każdy widzi inaczej? Czy kolor zielony jest w istocie tak samo odbierany przez wszystkich? A może to tylko nazwa „zielony”, którą niczym farbą pokrywamy zupełnie różne doznania i komunikujemy się tak, choć w rzeczywistości widzimy każdy co innego? Czy jest jakiś sposób, żeby to sprawdzić? A co by było, gdyby naprawdę otworzyć oczy? Gdyby ujrzeć jakimś cudem to prawdziwe, co nas otacza? Co by to było? Aszer często miewa takie myśli i wtedy ogarnia go lęk”. (Aszer Rubin)



Leszek Kuchniak „Cadyk - rabin”, akryl na płótnie

### KSIĘGA KOMETY

„Ludzie mają do siebie zwykle mniejszą lub większą skłonność, coś słabiej albo silniej ciągnie ich do siebie. Te sprawy są bardzo skomplikowane, dlatego z wyczuciem zajmują się nimi kobiety. One lepiej niż mężczyźni potrafią odgadnąć, dlaczego...”.

„Za życia na ziemi dusze tkają sobie ze swoich dobrych uczynków micwot, szatę, którą po śmierci będą nosić w wyższym świecie. Szaty złych ludzi są pełne dziur”. (Nachman)



Leszek Kuchniak – „Jom kippur”, akryl na płótnie

### KSIEGA DROGI

„Polscy panowie przyjeżdżają patrząc, jak ten Frank, ten Żyd turecki czy włoski, czyni cuda, jakich nigdzie nie widzieli, i mówi im o końcu świata. Czy chrześcijaństwo też będą zbawieni, czy to tylko żydowski koniec świata? – to nie jest pewne. Chcą z nim rozmawiać”.



Leszek Kuchniak – „Getto”, akryl na płótnie



Leszek Kuchniak – „Rada rabinów”, akryl na płótnie

### KSIEGA PIASKU

„Jakub zaczął nagle przedstawiać się nie jak dotąd: Jankiel Lejbowicz, lecz Jakub Frank, tak tu nazywają Żydów z Zachodu [...] Frank, frenk znaczy obcy. [...] być obcym, to cecha tych, którzy często zmieniali miejsce zamieszkania. Mówił Nachmanowi, że najlepiej mu jest w nowym miejscu, bo wtedy świat zaczyna się na nowo. Być obcym, to być wolnym. Mieć za sobą wielką przestrzeń, step, pustynię. Mieć za sobą kształt księżycy [...]”.



Leszek Kuchniak – „Wędrowka 2”, akryl na płótnie

### KSIEGA DALEKIEGO KRAJU

„Kiedyś szedłem burzyć, wykorzeniać, a teraz zaszczepiam i buduję. Chcę was nauczyć obyczajów królewskich, bo wasze głowy są do noszenia korony”. (Jakub Frank)



Leszek Kuchniak – „Jakub i Hana”, akryl na płótnie

## ODSZEDŁ W WIELKIEJ CISZY

Artysta rzeźbiarz i malarz Andrzej Pęcowski



### Piotr Rędziński

Czasem zastaje mnie refleksja, że śledząc codzienne statystyki osób zakażonych koronawirusem, osób zmarłych i na szczęście osób wyleczonych, postrzegam liczby, porównuję je z innymi krajami, widzę jakąś ogólną skalę ogromnego nieszczęścia, które zstąpiło na ziemię; pewnie jak my wszyscy nie przekładam tego na ludzkie pojedyncze nieszczęścia i tragedie... Zaabsorbowani całą tą sytuacją przestaliśmy myśleć o osobach obłożnie chorych, chorych przewlekle, o niepełnosprawnych, starych, którzy odchodzą, często umierają ciszej niż kiedykolwiek. Tak się stało w przypadku seniora rzeszowskiego środowiska artystycznego – artysty rzeźbiarza, malarza Andrzeja Pęcowskiego. Zmarł 28 marca 2020 r. Odszedł artysta, ale przede wszystkim człowiek skromny, cichy, żyjący (jakbyśmy to dziś paradoksalnie nazwali) w swoistej życiowej kwarantannie: sam, choć stroniący od towarzystwa, zawsze przyjacielski i życzliwy dla innych. I w tym artystycznym życiu wydawał się nieobecny, choć jego udział w wystawach, plenerach, aukcjach charytatywnych tego nie potwierdza.

Andrzej Pęcowski był rodowitym rzeszowianinem urodzonym w 1941 roku. Studiował

na Wydziale Rzeźby w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w pracowni prof. Jerzego Bandury w 1969 roku. Powrócił po studiach do Rzeszowa i tu uczestniczył w życiu artystycznego środowiska. Początkowo zrealizował kilka form pomnikowych zdobiących parki i skwery naszego miasta, które niestety zniknęły z naszego pejzażu wraz z przebudową i rozwojem miejskiej infrastruktury Rzeszowa. Zajmując się mniejszymi formami rzeźbiarskimi, zaczął również malować. Z tego ostatnio był nawet bardziej znany.

Zorganizował kilka wystaw indywidualnych swoich rzeźb i malarstwa w Polsce i regionie. Uczestniczył w licznych plenerach rzeźbiarskich i wystawach poplenerowych, np. Pływak, Lesko czy ostatnio w III i IV Ogólnopolskim Plenerze Malarskim – Wiśniowa pachnąca malarstwem (Wiśniowa 2010, 2011). W Rzeszowie nigdy nie miał wielkiej indywidualnej wystawy,



Andrzej Pęcowski

acz aktywnie i regularnie uczestniczył w wystawach zbiorowych i przeglądowych takich jak Obraz, Grafika, Obraz Roku czy Biennale ZPAP (do którego przystąpił tuż po ukończeniu studiów). Za swoje prace otrzymał kilka nagród, m.in. Nagrodę Wojewody Rzeszowskiego – 1980 i 1981, Nagrodę Prezydenta Miasta Rzeszowa – 1980, Nagrodę w konkursie na pomnik Stefana Żeromskiego w Mielcu – 1984, III nagrodę w dziedzinie rzeźby na Obraz, Grafika, Rysunek, Rzeźba Roku 1987. W 2007 został uhonorowany Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki.

Trzeba przypomnieć dwie ostatnie wystawy, w których uczestniczył Andrzej Pęcowski, a były to: w 2013 roku wystawa inauguracyjna rok szkolny liceum plastycznego w Rzeszowie w Galerii ZSP i w 2015 wystawa Senior Art. w Galerii „R\_Z” – galerii Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie mieszczącej się przy ulicy 3 Maja 16.

Odszedł w wielkiej ciszy, liczę i dołożę do tego starań, by jeszcze było o nim głośno!

■ Piotr RĘDZIŃSKI,  
dyrektor BWA w Rzeszowie

# ŚLAD POZOSTAWIONY

## W stulecie urodzin Jerzego Pleśniarowicza



**Ryszard Zatorski**

Przywołuję w pamięci sprzed ponad trzech lat spotkanie wspomnieli o Jerzym Pleśniarowiczu, jednym z założycieli i pierwszym prezesie rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Było to jedno z tych spotkań inauguracyjnych jubileusz półwiecza ZLP w Rzeszowie. Odbywało się w foyer Teatru im. W. Siemaszkowej. Ówczesny prezes ZLP, Mieczysław A. Łyp, przypomniał tę niezwykłą twórczo osobowość poety, tłumacza i krzewiciela sztuki teatralnej oraz reżysera. A gościem szczególnym wieczoru był syn owego twórcy, teatrolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Krzysztof Pleśniarowicz z rodziną. Książka jego autorstwa pt. *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, jak i filmik przez niego ułożony z wypowiedzi innych o jego ojcu (m.in. wspomnienia redaktorów Jana Grygla i Zbigniewa Wawszczaka) ponownie ożywiły postać tego wszechobecnego w kulturze Rzeszowa i kraju człowieka. Zwornika środowisk literackich ościennych krajów słowiańskich. Niczym w antraktach pojawiali się wtedy instrumentalnie i śpiewaczo studenci uniwersytetu pod kierownictwem muzycznym Marzeny Lubowieckiej, a perłą wieczoru były interpretacje recytacyjne wierszy Pleśniarowicza w mistrzowskim przekazie aktorów Barbary Napieraj i Wojciecha Kwiatkowskiego. Bo – jak podkreślił dyrektor Jan Nowara – miejsce dla tej poezji jest w naszym teatrze, któremu Jerzy Pleśniarowicz był całym sercem oddany jako kierownik literacki, reżyser, znawca sztuk wszelakich.

Miałem też okazję wspomnieć wtedy owego twórcę – znanego mi zwłaszcza z kontaktów w „Profilach”, ale nie tylko, gdzie kierował działem literackim miesięcznika. Przytoczyłem zwłaszcza m.in. obszernie fragmenty z ostatniej książki prof. Stanisława Fryciego *Szkice do portretu*, w której jeden z rozdziałów, poświęcony Jerzemu Pleśniarowiczowi, zatytułował *Serdeczny kolega, który wprowadził mnie w nieznaną środowisko literackie*. Profesor Frycie, założyciel „Profilów”, czasopisma społeczno-kulturalnego, i wówczas jego redaktor naczelny, ogromnie cenił sobie przyjaźń z owym erudytą, który nie tylko w jego pamięci zapisał się „jako wrażliwy humanista, poeta i znakomity tłumacz dramatów oraz utworów poetyckich z literatury rosyjskiej i radzieckiej, ukraińskiej, białoruskiej, czeskiej i słowackiej, a także jako reżyser teatralny i teatrolog oraz animator życia kulturalnego i literackiego”. Tymi zaletami i ujmującym sposobem bycia – jak podkreślił prof. Frycie – Jerzy Pleśniarowicz „jako poeta, tłumacz, człowiek teatru, humanista i animator regionalnego życia kulturalnego zapisał się w sposób trwały w kulturze polskiej, a osobliwie w kulturze i życiu literackim Rzeszowa. Wniósł bowiem do tego życia

i naszej kultury humanistycznej swój własny, odrębny i niepowtarzalny wkład”.

W tym roku przypada setna rocznica urodzin (1920–1978) tego zasłużonego humanisty, który czas długi życia i pracy zawodowej spędził właśnie w Rzeszowie i ma w naszym mieście także swoją ulicę. Uniwersytet Rzeszowski w to stulecie urodzin planuje w listopadzie ogólnopolską konferencję naukową pn. *Jerzy Pleśniarowicz – człowiek wielu talentów. Teatr, dzieło translatorskie, poezja*. To ciekawa inicjatywa, która zapewne pozostawi także trwały ślad wydawniczy.

Przypomnijmy, że ów rzeszowianin z wyboru od początku września 1952 roku (z przerwą roczną od kwietnia w 1954 r.) aż do emerytury, na którą przeszedł w 1974 roku w kwietniu, kierował sprawami literackimi Teatru im. Wandy Siemaszkowej. W tym czasie nie ustawał w swej twórczej pracy translatorskiej, poetyckiej i przybliżaniu literackiego dorobku osób związanych z regionem i naszymi słowiańskimi sąsiadami. Był także w latach 60. stypendystą rządu francuskiego i praktykował reżysersko w Théâtre National Populaire w Paryżu.

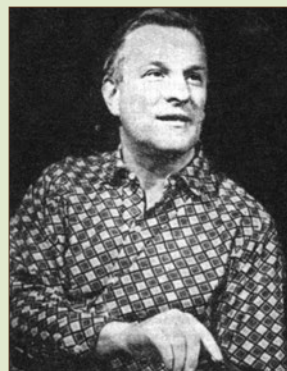
W reżyserii Jerzego Pleśniarowicza, a w wielu przypadkach i zarazem w jego przekładzie, widzowie rzeszowskiego teatru mogli spotkać takie m.in. przedstawienia, jak *Ostry dyżur* Jerzego Lutowskiego (1956), *Dzikusy* Sergiusza Michałkowa (1960), *Matka* Maksyma Gorkiego (1961), *Medea* Eurypidesa (1962), *To słowik śpiewał* Roberta Lamoreux (1963), *Pięć wieczorów* Aleksandra Wołodina (1964), *Gdzie jest Abel, brat twój* Julii Eldisa (1965), *Ktoś Nowy* Marka Domańskiego (1965), *Antygonia* Jeana Anouilha (1967), *Dwaj* Júliusa Barč-Ivana (1968), *Niespokojna starość* Leonida Rachmanowa (1969), *Z tej ziemi. Opowieści i reportaże* według scenariusza J. Pleśniarowicza (1971), *Chłopcy* Stanisława Grochowiaka (1972), *Uciekła mi przepióreczka* Stefana Żeromskiego (1973). I to Jerzy Pleśniarowicz stworzył także scenariusz *Panny Młodej z „Wesela”* i współpracował reżysersko z Elwirą Turską przy tym przedstawieniu w 1974 roku. Oprócz tego był także teatralnie obecny w audy-



Spotkanie we Lwowie z okazji 30-lecia pracy translatorskiej Jerzego Pleśniarowicza (1969). Od lewej Roman Fedorow, Roman Łubkiwski, Jerzy Pleśniarowicz, Rostysław Bratuń

cjach radiowych i gościnnie w innych polskich teatrach oraz u sąsiadów za granicą.

Do dziś nieodparcie mam takie skojarzenie, że gdy ktoś mówi kierownik literacki, to dopowiadam sobie machinalnie Jerzy Pleśniarowicz. Ten erudyta miał dar opowiadania. Zwykle przemieszczał się po mieście pieszo, zatem gdy spotykało się go gdzieś przypadkowo, taka chwila rozmowy trwała kolejne i kolejne kwadransy. Był żywą encyklopedią kultury, a szczególnie z literackiego i teatralnego obszaru. Dzielił się swą wiedzą bezinteresownie i pomagał szczerze. I ciągle brakowało mu czasu. Działacze obecnego Towarzystwa Kultury Teatralnej, w przeszłości Związku Teatrów



Jerzy Pleśniarowicz

Amatorskich, przypominają niczym anegdotę jak to jedynie Wiktorowi Nowickiemu udało się jedyny raz tego ascetycznego wręcz abstynenta, jakim był pan Jerzy, przekonać do wspólnego uszczknięcia zawartości fiaszeczki okowity. Wiktor był sekretarzem oddziału wojewódzkiego ZTA i niezwykle skrupulatnym dokumentatorem tradycji ruchu teatralnego. Na wiekopomną, do dziś wspomnianą wystawę na 60-lecie stowarzyszenia, katalog, czyli po prostu sporą książkę, przygotowywał właśnie Jerzy Pleśniarowicz. I w tym swoim niedoczasie ciągle coś do końca podrzucał w „ołówku” wprost do drukarni zecerom albo dyktował linotypistom z pamięci, jak owego dnia, gdy Wiktor zapał się, że tym razem katalog już musi być dopięty. Trzymał więc pana Jerzego w drukarni do skutku i nie odpuszczał, mając do pomocy wspomnianą fiaszkę. Ale to był chyba jedyny taki epizod.

Spotkania w „Profilach” w redakcji przy pl. Wolności to były każdorazowo, gdy pojawiał się pan Jerzy, takim swoistym seminarium literackim, z nim oczywiście w roli głównej. Dzięki niemu bliższe stawały się nazwiska poetów i pisarzy nie tylko z naszego regionalnego kręgu, ale przede wszystkim z szerszego, słowiańskiego. Bo mogliśmy być świadkami, jak ten niezwykły translator przynosił kolejne przekłady literackie wierszy, m.in. czeskiego poety Mirosława Holuba, słowackich Stefana Kremerego, Wojteha Mihálíka, Mirosława Válka, Jana Stacho, Mikuláša Kováča, rosyjskich poetów Stepana Szczupaczowa, Iwana Bunina, gruzińskiego Michy Kwiliwidze, ukraińskich Pawła Tyczyny, Dmytry Pawlyczki, Ivana Dracza, Borysa Olijnyka, Maksyma Rylskiego, Romana Łubkiwskiego, białoruskiego Maksyma Tanka i wielu innych. Często w „Profilach” prezentowani byli oni grupowo, wedle narodowościowej przynależności. Cenił i do dziś wspominam z wdzięcznością owe czasy i to, że dane mi było spotkać na swej drodze tę wybitną postać. Ten ślad Jerzy Pleśniarowicz, by nawiązać do tytułu książki jego syna Krzysztofa, pozostawił trwale w naszej pamięci, ale przede wszystkim zapisał się tak w tradycjach kulturalnych Rzeszowa.

■ Ryszard ZATORSKI



## WIROWANIE NA PLANIE

### WŁADZA POKAZAŁA

No i doczekaliśmy kolejnej, tym razem okrągłej, rocznicy katastrofy smoleńskiej. Bez specjalnego zadęcia i nieszczerłej pompy. Wiadomo, pandemiczny czas nie sprzyja takim uroczystościom, ale i tak władza pokazała, kto tu rządzi. Pospacerowała sobie po Warszawie solidną partyjną kupą, oczywiście, bez jakichś tam urządzeń maskujących zatroskane oblicza wybrańców narodu. Co wolno Prezesowi I Ojczyźnie, to nie tobie narodzi. Szwagier prezesa próbował pokazać się po ludzku, czyli z ustrojem maskowniczym, ale został szybko przywrócony do pionu. To psuło ogólny wyraz artystyczny ekipy. Nikomu do głowy nie przyszło, aby zachowywać jakieś sanitarne odległości. Głowa mnie od tego rozboleła, jakbym całą noc oglądał obrady sejmowe pod dalekowzrocznym przewodnictwem pani marszałek, którą niektórzy mianują uchwytem laski marszałkowskiej. Zapewne niesłusznie.

Skoro koronawirus to stwór niewierzący, to i odporny jest na modły czy zaklęcia. Ale u nas pewnie żadnego polityka wirus nie tyka. I nie tknął. Gdy ktoś zorientował się, że takie demonstracyjne manifestowanie swojej wyjątkowości fatalnie zostało przyjęte przez masy pracujące miast i wsi, kazali tłumaczyć się z tego bogu ducha winnemu rzecznikowi prasowemu policji. Ten rąbnął z grubej rury, że to były same osobistości państwowej władzy. Za wielu ich tam nie dojrzałem, raczej partyjną wierchowinę. Czekałem jeszcze na wskazanie, która połowa dnia jest dłuższa.

Z nieklamany zdumieniem dojrzałem Prezesa I Ojczyźnie wjeżdżającego sobie na warszawski cmentarz, aby odwiedzić grób matki. Inni za taki wyczyn buliliby mandaty, gdyż obowiązuje zakaz odwiedzania cmentarzy. Nie za bardzo rozumiem dlaczego. Pewnie w obawie, że ktoś mógłby zarazić umrzyków. Jednak żaden wirus nie byłby w stanie przebić się przez kordon roslých ochroniarzy towarzyszących prezesowi po to, aby miał kto święcić i ustawiać znicze tam gdzie trzeba. Nikt nie odnotował jednak wizyty przy grobie prezesowego ojca.

Nigdzie nie wyczytałem racjonalnego uzasadnienia pozamykania lasów (już na szczęście znowu otwartych) dla bogobojnego ludu, który – dla przykładu – zechciałby tam sobie pospacerować, tudzież pobiegać. To ponoć bardzo zdrowe i pożądane zajęcie pod każdym względem. Mnie przychodzi do głowy tylko jeden poważny powód – obawa przed powstawaniem oddziałów partyzanckich. Coś tam jeszcze z czasów wojny po wsiach uchowało się z uzbrojenia. I jak ich później przegonić z tych lasów?

### COŚ ZA TYM SIĘ KRYŁO

Coś musiało się zaciąć w sprawie na ogół działającym długopisem PiS w Pałacu Namiestnikowskim. Już od ponad roku leży w prezydenckiej zamrażarce wniosek przygotowany z całą starannością proceduralną przez Centralną Komisję do spraw Stopni i Tytułów Naukowych. Przypadek? Niemożliwe. O co chodzi? Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to znaczy, że chodzi o pieniądze bądź politykę. Jest na Uniwersytecie Warszawskim Centrum Badań nad Uprzedzeniami, którym kieruje dr hab. Michał Bilewicz. Zdolny psycholog społeczny młodego pokolenia o dużym i znaczącym dorobku naukowym, uznawanym również poza Polską. Wspomniana komisja centralna przygotowała wniosek o nadanie mu tytułu profesora zwyczajnego. Podpisało się pod nim sześćdziesięciu recenzentów profesorskich. Prezydent nie ma prawa recenzowania takich wniosków ani ich zawetowania. Ma obowiązek złożenia swojego szlachetnego podpisu. Jednak nie z prezydentem Dudą takie numery. Uznał bowiem, że nie ma przepisu, który określałby termin, w którym taki podpis ma złożyć. Zatem wniosek leży sobie w zamrażarce i nabiera mocy urzędowej. Wiele wniosków o nadanie tytułu profesorskiego złożonych dużo później doczekało się już podpisu, a ten Michała Bilewicza leży sobie w najlepszej.

Czym tak Bilewicz podpadł? Otóż prowadzi on także rozległe badania nad kształtowaniem się postaw antysemitycznych w Polsce. Jeśli tak, to musiał z konieczności narazić się środowiskom narodowców i tak zwanej twardej prawicy. A tu zbliżają się wybory! Nikt z recenzentów profesorskiego wniosku nie wycofuje się, ani tym bardziej wstydzi swojego stanowiska. A dla przykładu promotor doktorancki prezydenta Andrzeja Dudy z Uniwersytetu Jagiellońskiego wstydzi się. Coś w tym było, coś za tym się kryło, coś musi być, ale do dziś nie wiem co.

■ Roman MAŁEK



## ODPRYSKI

### MIESIĄC KRÓLOWEJ

Maj w Polsce jest najpiękniejszym z miesięcy. Jest w nim odbłask raj, który padł na ziemię, gdy Archanioł wyganiał żonę Adama i Ewę. I powraca on co roku. Poezja sławiąca jego uroki zajęłaby grube tomy i nie wyjaśniłaby tajemnicy jego piękna. Bo konwalie, bzy czy słowiki przełożone na język ludzki byłyby zwykłym banałem. A cud tego miesiąca trwa i nic go odtworzyć nie zdoła. Ani pędzel, ani pióro. Można go jedynie przeżyć. Bo nie ma człowieka, starego czy młodego, nieczulego na maj. Młody, bo dusza w nim kwitnie, stary, bo wspomina. Czy sześćdziesiąty maj jest piękniejszy niżli osiemnasty?

Trzeci Maja. Pamiątka dla Polaków chyba najważniejsza. Dlaczego? Przecież nie weszła nigdy w życie? Bo ten dzień upamiętnia zwycięstwo klasy rządzącej narodem nad samą sobą. Zwycięstwo nad egoizmem i prywatą, wyrzeczenie się dobrowolnie przywileju dla korzyści ogółu, co dla dzisiejszych rządzących jest rzeczą niezrozumiałą. A zaraz potem dzień św. Stanisława, który został świętym, bo zachciało mu się rządzić królem Polski i postawił mu warunki *sine qua non*. Ten miał inne zdanie na ten temat. Skończyło się to, jak się skończyło, a polski Kościół do dziś nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Nadal popiera tych, którzy gwarantują mu stały dopływ dóbr z państwowej kasy, oczywiście nie symboliczny. Bo jego pupilem zawsze staje się hojny darczyńca.

Tym razem nadarzył się bliźniak, który z ogólnie przyjętą moralnością nie ma nic wspólnego. On ma swoją moralność Kalego. To człowiek, który, jak powiedział to trafnie Zbigniew Hołdys, nie podaje ręki, używa wobec współobywateli słowa zdraycy, odgrywa kłamliwe role w wyborach, a po ich przegraniu nie uznaje ładu społecznego. Bo on uznaje tylko swój ład. Jak sam pisze w swojej au-



tobiografii, jest zwolennikiem takiego absolutnie antykonstytucyjnego modelu funkcjonowania władzy publicznej, w której istnieją ośrodki faktycznej władzy poza strukturami państwa. Czyli ktoś, kto tak naprawdę wydaje polecenia i nie ponosi za nie odpowiedzialności. Dokładniej, dąży do takiego państwa, w którym, jeżeli istnieją demokratyczne instytucje, to tylko takie jak potiomkinowska wieś. Doprowadził już do tego, że z tylnego siedzenia rządzi prawie już autorytarnym państwem z elementami totalitaryzmu, w którym on ma podporządkowane sobie wszystkie dziedziny życia publicznego, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. Ma więc nieograniczone prawo zarządzania klasycznych czystek i korzysta z niego.

Takich uprawnień nie miał pod koniec PRL nawet I sekretarz KC PZPR, ale miał na początku lat 50. Bierut. Teraz ma Kaczyński. Może bezkarnie wyzywać innych absurdalnymi epitetami typu komuniści, złodzieje czy gestapowcy i nikt w środowisku PiS-u, a i wśród ludzi Kościoła popierających go, przeciwko temu nie protestuje. Bo oba te środowiska przypominają ortodoksyjną grupę religijną, z którą jakkolwiek dyskusja jest niemożliwa. A tak funkcjonuje sekta. A nasz Leonidas będzie ciągle walczył o swoje. Do ostatniego Polaka.

Jest takie przysłowie: „Z wiosną nadzieje rosną!”. Chyba raczej było.

■ Tekst i grafika  
■ Zbigniew GRZYŚ



Jerzy Maślanka

## Król Jarko I von Karzełek



Raz zdolny rzeźbiarz sztuki pan, gdzieś w górach czy Mazurach, gdy wypił z gwinta wina dzban, z lipy wystrugał króla.

Główka mała, nóżki krótkie, na które włożył sandały, rączki, plecki też malutkie i ust grymas niebywały.

Choć wygląd on kurdupla miał i niedomogów cały szereg, lecz mistrz mu taki tytuł dał: król Jarko I von Karzełek.

Aby wyróżnić jednak go wśród wyrzeźbionych ludków, na piedestale sobie stał w jego domowym ogródku.

I nagle ten nobliwy pan z osiągnięć swych szczęśliwy, gdy wina łyknął drugi dzban, ogródek swój ożywił.

Ucieszył się karzełek nasz, powiedzmy Jarko Pierwszy, uśmiechem swą ozdobił twarz: jam tu jest najważniejszy.

Uwierzyć w siebie to nie grzech, jestem tu carem, panem i na cześć przodków ogród niech zwie się mym Lechistanem.

Otaczał go usługny dwór pariasów i klakierów, tworzyli oni zgrany chór do specjalnych celów.

I rządził sobie tak jak chciał, praw krętych deptał ścieżki, w nieomyślności swojej król, wywieszał swe wywieszki.

A w maju gdzieś chroniona wieść dotarła przez parkany, że boży dar, Karzełek Car to z lipy był strugany.

Wykrzyknął więc ogródka lud, co cichy był latami, mistrzu – za wierność, pracę, trud czemuś nas ocycanił.

I wtedy mistrz znów pomysł miał, gdy w lesie był czas wyrębu, wziął nożyk, dłuto i życie dał nowemu karzełkowi z dębu.

A bohatera rozważań mych połamał jak zapałkę, by przy kominku jego tkwił, czekając na podpałkę.

A morał z opowieści tej taki jest dla potomnych, swe siły na zamiary mierz, choć myślisz, żeś niezłomny.

## Nina Opic SEKRETY ŻYCIA

### Nie było nas, był las



Pandemia, która omotała nas od dłuższego czasu, wyizolowała nas od naturalnego środowiska, zamknęła w czterech ścianach i zmienia nasze spojrzenie na świat. Właśnie zamknięci w domach możemy dostrzec kolorystę wiosny, usłyszeć poranne trele ptaków i zobaczyć jasne niebo niezasnute chmurami zanieczyszczeń. A przecież nie kto inny, tylko człowiek nieustannie niszczył swoje środowisko naturalne, często nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. Człowiek czuł się panem świata i basta, nie dawał za wygraną. Dla swoich kapryśków niszczył zielone i wodne tereny naszej Ziemi, nie bacząc na to, że niszczy właściwych mieszkańców lasów, łąk, jezior, oceanów. Teraz, gdy został prawie siłą zatrzymany w domu, przyroda zaczyna stopniowo oddychać. Zanieczyszczona, brudna i niestety brzydko pachnąca Wenecja nabiera niespotykanego widoku: powietrze jest czystsze, place pozbawione jazgotu turystów, a kanały mają przezroczystą wodę, w której najspokojniej w świecie pływają niewidziane

tu od kilku stuleci ryby. W lasach, w parkach ptaki budują gniazda i nie przeszkadza im w tym żaden tłum rozkrzyczanych ludzi, bo po prostu tych ludzi nie ma. Parki narodowe choć przez jakiś czas nie będą rozdeptywane i zakrzyczane. To, co powinno być zrozumiałe dla wszystkich, teraz przemawia do nas wszystkimi zmysłami. Widzimy, słyszymy, ale czy rozumiemy? Boję się, że za jakiś czas znów będzie pełno śmieci, krzyku i bezmyślnego zachowania w miejscach, które podziwialiśmy przez okna, w miejscach, do których tęskniliśmy i które miały i będą mieć kojący wpływ na nasze zdrowie psychiczne i fizyczne. Czy potrafimy docenić otaczającą przyrodę, wszak jesteśmy tylko w niej gośćmi? Co musi być, byśmy inaczej spostrzegali otaczający nas świat? Czy nie wystarczy już przestrogi naturalnego środowiska? Czy za wszelką cenę wszystko musimy mieć pod swoim butem? Rodzą się ciągle pytania, na które odpowiedzieć może każdy z nas. Pamiętajmy – najpierw był las, a dopiero później człowiek, i niech ten las będzie z nami. I nie niszczy swego naturalnego gniazda. Obyśmy wyciągnęli wnioski z przymusowej kwarantanny i izolacji od zieleni i czystego powietrza. Oby... ■

## SMAKI RODZINNE



### Iga Szumska poleca Delicje biszkoptowe z kremem stracciatella

300 g podłużnych biszkoptów • 60 ml likieru kawowego np. amaretto lub świeżo zaparzonej mocnej kawy. Krem stracciatella: 7 łyżek żelatyny • 50 dag trzykrotnie zmielonego twarogu półtłustego • 12 dag cukru • ½ l jogurtu naturalnego • 10 dag gorzkiej czekolady. Twaróg włożyć do miski, dodać cukier i jogurt. Wszystko zmiksować na gładką masę. Czekoladę zetrzeć na tarce o dużych oczkach. Żelatynę rozpuścić w niewielkiej ilości wody; wymieszać z 3 łyżkami

masy serowej i dodać do reszty masy, wymieszać. Dodać startą czekoladę i ponownie wymieszać. Obręcz tortownicy (26 cm) posmarować od wewnątrz olejem i postawić ją na natłuszczonej paterze lub dużym talerzu. W obręczy na spodzie ciasto ułożyć biszkopty – część z nich przekroić do odpowiedniej długości. Biszkopty skropić połową likieru lub kawy. Na spód biszkoptowy wyłożyć połowę kremu serowego, na krem warstwę biszkoptów, skropić resztą likieru lub kawy. Wyłożyć pozostały krem stracciatella, wierzch tortu wygładzić. Wstawić do lodówki na 2–3 godziny, aby masa stężała. Następnie zdjąć obręcz tortownicy, pokruszyć grubo 2 biszkopty, posypać nimi środek ciasta. Można też kilka biszkoptów przekroić na pół, częściowo zanurzyć w polewie czekoladowej i ozdobić nimi wierzch ciasta.



## FRASZKI

Adam Decowski

**W PEWNYM CZASIE**  
W pewnym czasie i dewotka na swej drodze diabła spotka.

**EPITAFIUM CNOTLIWEJ**  
Gdy już innego wyjścia nie miała, ducha Bogu, ziemi ciało oddała.

**NIEZADOWOLONA**  
Nie może pozbyć się żalu i złości, że wyszła za mąż jedynie z miłości.



Czesław P. Kondraciuk

**DYLEMAT**  
Teraz każdy będzie gdybał: czy lepsza wędka, czy gotowa ryba...

**BUTA SZEFA SPRAWIEDLIWOŚCI**  
– Niech mi tu podskoczy który! Jestem jankiem mądrzejszym od kury...



## LIMERYKI

Regina Nachacz

Old inżynier z Mirosławca pragnie za sąsiada krawca. Los figlika spletał, odpadła mu łąta, paraduje w szmelc dziurawcach.



## AFORYZMY

Mirosław Welz

\*\*\*  
Głupota z powodzeniem udaje mądrość, dopóki się nie odezwie.  
\*\*\*  
Dotyk jest najczulszym ze zmysłów.  
\*\*\*  
Śmierć pamięta drogę do każdego domu.  
\*\*\*  
Na uczonych głowach wszy nie stają się mądrzejsze.

## Nie szalej



**Baran (21 III–20 IV)**  
Nie szalej na rowerze.



**Byk (21 IV–20 V)**  
I widzisz, poradziłeś sobie i poradzisz z pracą zdalną.



**Bliźnięta (21 V–21 VI)**  
Zamiast wyszukiwać coraz to nowszych diet, zajmij się działką.



**Rak (22 VI–22 VII)**  
A może zaczniesz sam zajmować się kuchnią.



**Lew (23 VII–23 VIII)**  
Zamierzone cele stopniowo zrealizujesz.



**Panna (24 VIII–22 IX)**  
Ostatnio trochę się zasiedziałaś, więc zrób coś z tym.



**Waga (23 IX–23 X)**  
Wybierzcie się do lasu lub nad wodę.



**Skorpion (24 X–22 XI)**  
Pamiętaj o telefonach do rodziny.



**Strzelec (23 XI–21 XII)**  
Będzie czas na zawodową rozmowę.



**Koziorożec (22 XII–20 I)**  
Możesz planować rodzinne wyjście do kina.



**Wodnik (21 I–19 II)**  
Teściowa nie taka straszna, jak myślisz.



**Ryby (20 II–20 III)**  
Dobrze się zastanów, gdzie robisz motoryzacyjne zakupy.

## 59. MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ TEATRU

# WIDZOWIE NAGRADZAJĄ



**WEJDŹ NA WWW  
I ZAGŁOSUJ**

**TEATR-RZESZOW.PL**



## WANDA`20 dla

- ➔ **NAJLEPSZEJ AKTORKI**
- ➔ **NAJLEPSZEGO AKTORA**
- ➔ **NAJLEPSZEGO SPEKTAKLU**



## Zatrzymaj ciepło do lata

Choć wiosna rozkwitła wyższymi temperaturami, poranki i wieczory bywają chłodne. Zanim na dobre przyjdzie lato możesz zadbać o słoneczną aurę w swoim mieszkaniu. W jaki sposób? Zamiast otulać się ciepłym kocem, ogrzej swój dom ciepłem systemowym.

MPEC Rzeszów - Twój dostawca ciepła



[www.mpecrzeszow.pl](http://www.mpecrzeszow.pl)

**Greinplast**  
PREMIUM



PRAKTYCZNI  
i elegancko

# PLAMOODPORNOSC W 1320 KOLORACH

